



Linda Goodnight



Dom pod gwiazdami

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jej ojciec znów to zrobił.

Kara Dean Taylor mocniej ścisnęła kierownicę swojego wiśniowego cavaliera i przemknęła obok zardzewiałego szyldu. To był znak, że jest już na rodzinnym ranczu.

Pete Taylor upijał się dwa razy w roku - w rocznicę ślubu i rocznicę śmierci żony. Wtedy przegrywał w pokera swoje ranczo. Na szczęście wszyscy mieszkańcy Bootlick w stanie Teksas wiedzieli, że Pete zawsze traci rozum, gdy łączy picie z grą w karty. Dlatego, gdy tylko trzeźwiał, nowy „właściciel” oddawał mu wygraną za kilka dolarów lub sześć puszek piwa.

Ale tym razem ranczo wygrał człowiek, do którego Kara czuła głęboką pogardę. Jej ojciec przegrał z Johnem Murdockiem, a ten przebiegły łotr na pewno nie odda łupu.

Samochód jeszcze się kołysał, gdy Kara wyskoczyła i szybkim krokiem ruszyła w stronę domu. Jej wściekłość trochę osłabła na widok ojca, który stał w drzwiach, z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Och, tato! - Objęła go za szyję, wdychając znajomy zapach tytoniu wydobywający się z kieszeni jego koszuli. - Powiedz, że cię źle zrozumiałam przez telefon. To niemożliwe, żeby John Murdock wygrał od ciebie ranczo!

Pete zacisnął usta.

- Wygrał ze mną uczciwie.

- John Murdock nie wie, co to jest uczciwość. - Nawet po sześciu latach jego imię budziło niemiłe wspomnienia. Prześladował ją widok jego czarnych, rozśmianych oczu. - Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu chcesz oddać nasze ranczo.

- Nic innego mi nie pozostało. On ma w ręku akt własności. - Pete poruszył się niespokojnie. - Tu wszystko się zmieniło, Karo Dean. Wiedziałyś o tym, gdybyś stąd nie wyjechała.

Ojciec nie mógł jej wybaczyć, że opuściła dom parę tygodni po śmierci matki, która długo walczyła z rakiem. Zostawiła go, gdy byli sobie najbardziej potrzebni, i nie powinna po raz drugi popełnić tego samego błędu. Tak jak ojciec była przywiązana do tej ziemi i chciała, żeby wychowywało się tu jej dziecko.

Na myśl o Lanie, swoim pięcioletnim synu, poczuła niepokój. Musiała teraz stanąć oko w oko z diabłem. John Murdock nawet nie zdawał sobie sprawy, że gdyby chciał, mógłby ją zupełnie zniszczyć.

Poklepała ojca po plecach, wyprostowała się i weszła do środka. Nie mogła już się doczekać, kiedy ujrzy znajome kąty. Oparła się o barek, który oddzielał kuchnię od jadalni, zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze, które pachniało sosną.

Sosną? Szybko otworzyła oczy. Coś tu się nie zgadza. A gdzie znajomy zapach emulsji do czyszczenia mebli?

Z uwagą rozejrzała się po pokoju. Nie było starego okrągłego stołu i krzeseł z wysokimi oparciami. Na ich miejscu stał nowy komplet dębowych mebli na wysoki połysk z wyściełanymi krzesłami.

- Tato!

- Próbowałem cię ostrzec. - Dotknął jej ramienia.

- Gdzie są nasze meble?

- Wyniosłem je do przyczepy.

- Mieszkasz w przyczepie? Nie mów mi, że ten podstępny Murdock wyrzucił cię z domu. Uduszę go gołymi rękami. Połamie mu nogi, żeby już nigdy nie mógł wsiąść na byka. I jeszcze mu...

- Wylejesz mi gorące kakao na kolana, tak jak w szkole średniej?

Kara zamarła. Choć była odwrócona plecami do drzwi, poznała głęboki, leniwy głos, który ją nawiedzał w snach. Niski i zmysłowy, sprawił, że ciarki przeszły jej po plecach. Zacisnęła zęby i pięści, po czym odwróciła się, żeby spojrzeć diabłu w twarz.

Pete podniósł ostrzegawczo rękę.

- Zaczekaj, Karo Dean. Ja sam chciałem przenieść się do przyczepy. Ten chłopak może jest przebiegłym pokerzystą, ale nigdy nie wyrzuciłby starego człowieka na zimno.

- Nie jest zimno, a ten „chłopak” ma trzydzieści lat i ukradł nasze ranczo.

- Zaraz, zaraz, nie skończyłem nawet dwudziestu dziewięciu. Nie rób ze mnie starca - rzucił ironicznie John.

Nie spodziewała się, że ten widok poruszy jej wszystkie zmysły. Stał przed nią, dumny jak zawsze, z ręką opartą o framugę drzwi. Drobne zmarszczki okalały jego pełną dolną wargę, która zawsze wydawała jej się bardzo zmysłowa. Patrzyła przez chwilę, starając się nie wspominać jego pocałunków.

Do diabła! Ale miał szczęście. Był tak atrakcyjny, gdy zadurzyła się w nim jako nastolatka, a teraz jeszcze wyprzystojniał. Szczupły i zgrabny jak przystało na kowboja. Nikt nie wyglądał lepiej w starych obcisłych dżinsach i czarnym kowbojskim kapeluszu niż John Murdock.

Jednak ona miała w tej chwili ochotę wydrapać mu oczy, w których skrzył się uśmiech.

- No tak - zasyczała, wydymając usta - wróciłeś jak zły szeląg.

- Mógłbym to samo powiedzieć o tobie. - Jego łagodny ton dolał tylko oliwy do ognia. Jak on śmie zachowywać się tak spokojnie, kiedy w niej aż wszystko kipi?

- Ja jestem u siebie. To mój dom.

Uśmiechnął się. Ten arogancki typ miał czelność się uśmiechać, najwyraźniej przekonany, że ranczo należy już do niego.

Zręcznym ruchem, jak przystało na mistrza rodeo, zdjął kapelusz i zarzucił go na jedno z poroży jeleni wiszących przy tylnych drzwiach. Potem ruszył wolno w stronę barku, przerzucił jedną nogę przez stołek i usiadł, jakby to wszystko stanowiło jego własność.

Do diabła! To ranczo naprawdę było jego.

Kara stanęła przy drugim końcu wąskiego barku, czując, że wzbiera w niej wściekłość. John Murdock ukradł jej już wystarczająco dużo. Nie zabierze jeszcze tego rancza.

W pokoju zapadła cisza.

- Jesteś oszustem i złodziejem, Murdock.

John położył muskularną rękę na biodrze, a jego usta wykrzywił nieprzyjemny grymas.

- Jak to miło znów cię widzieć, Karo.

Podświadomie czuła, że John udaje tylko nonszalancję, ale nie w głowie jej było analizować teraz jego emocje. Tym razem nie uda mu się sztuczka.

- Oszukałeś mojego ojca.

- Nic takiego nie zrobił - rzucił ojciec, sadowiąc się przy barku. - Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

Kara usłyszała dzwonięcie w uszach i białe plątki zawirowały jej przed oczami. Ale to wcale nie oznaczało, że zemdleje. Czuła, że zaraz kogoś zamorduje. Kłopot w tym, że nie wiedziała, kogo zabić najpierw - ojca czy tego łotra Johna Murdocka.

- Tato, jeśli nie chcesz rozprawić się z tym typem, pozwól, że ja to zrobię.

Jednak zaraz pożałowała swoich słów. Twarz Pete'a oblała się rumieńcem. Słowa córki zraniły jego dumę. Zanim Kara zdążyła go przeprosić, wstał sztywno ze stołka.

- Idę do przyczepy. Jak skończysz, to przyjdź do nas. Sally szykuje lunch.

Wyszedł i drzwi zatrzasnęły się za nim. Kara zamrugła ze zdziwienia.

Kim u diabła jest Sally?

- Napijesz się kawy?

Pokręciła głową. John uniósł do góry dzbanek, spoglądając na nią pytająco.

- Nie zdążyłem jeszcze kupić Doktora Peppera.

To ją zaskoczyło. Pamiętał, jaki jest jej ulubiony napój?

Najpierw ojciec zachowuje się dziwnie, potem John nie wiadomo po co udaje przyjaciela - naprawdę nie wiedziała, co ma o tym myśleć. John wsypał łyżeczkę cukru i przesunął do niej kubek.

Szczęśliwa, że może wreszcie czymś się zająć, Kara wypila łyk gorącej kawy, nie przestając gorączkowo myśleć.

Zupełnie inaczej wyobrażała sobie to spotkanie. Nie przypuszczała, że on będzie taki spokojny. Że będzie pamiętał, ile słodzi i jaki lubi napój. Był potworem, który zostawił ją szlochającą na ścieżce przed domem i pojechał szukać pieniędzy i sławy na rodeo. Był oszustem i kłamcą, który obiecywał jej wspólne życie, a potem nagle zniknął.

Pamiętała ten ranek, tak jakby to było wczoraj. Przypomniały jej się ból i złość, które nią wtedy zawładnęły.

Stali przy otwartych drzwiach jego starej czerwonej ciężarówki smagani czerwcowym wiatrem. Obejmował Karę i gładził długie blond loki, które opadały na jej zapłakaną twarz.

- Muszę jechać, Karo - powiedział. - Całe miasto lada chwila zacznie plotkować na mój temat. Wiadomo, jaką opinią cieszą się Murdockowie. Teraz mam szansę udowodnić im, że się mylą, i pokazać, ile jestem wart. Nie mogę być wiecznie pomocnikiem twojego ojca.

- Ale kiedyś odziedziczę to ranczo i będzie należało do nas. Nie będziesz niczym pomocnikiem. - Łzy spływały na ręce, którymi pieścił jej policzki.

- Kiedyś. - Ucałował jej drżące usta, jego oczy były dziwnie błyszczące. - Ale teraz mam największe szanse, żeby wygrywać na rodeo. Może pojeżdżę z dziesięć lat. Potem zawsze już będziemy razem. - Stwardniałymi palcami dotykał jej brody.

- Kiedy skończę karierę i uzbieram trochę pieniędzy, będziemy mieli najpiękniejsze ranczo we wschodnim Teksasie. Obiecuję.

- Jeśli mnie kochasz, nie wyjedziesz.

- Ależ ja cię kocham, Karo - powiedział głosem ochryplym ze wzruszenia. - Dlatego właśnie muszę jechać. Zrozum.

Nie potrafiła... Mimo jej błagań wsiadł do ciężarówki, włączył silnik i odjechał. Dała mu ultimatum - ona albo rodeo.

Wybrał rodeo i hulaszczy tryb życia, tak jak jego ojciec. Zostawił ją na pastwę losu.

Wzdrygnęła się na myśl o bólu, jaki wtedy czuła. Już nigdy nie da się oszukać. Zwłaszcza temu mężczyźnie.

- To ranczo należy do mojej rodziny i musisz mi je oddać.

- Dlaczego? - Zmrużył oczy, przyglądając się jej wzburzonej twarzy. - Jeśli zależy ci na tym miejscu, to dlaczego przeniosłaś się do Oklahomy i zostawiłaś ojca?

Ledwo się powstrzymała od ostrej odpowiedzi. Jak on śmie wątpić w jej przywiązanie do tej ziemi? Nie wie, ile nocy przepłakała w malutkim mieszkanku, słuchając obco brzmiących dźwięków syren i klaksonów. Nie wie, jak tęskniła za domem ani jak rozpaczliwie brakowało jej rodziny. I jak bardzo tęskniła za nim.

- Miałam powody, żeby przeprowadzić się do miasta. - Chwyliła ciepły kubek tak mocno, że o mało go nie zgmiotła.

- Tak. Słyszałem, że wyszłaś za męża. - John ostrożnie postawił swój kubek na blacie i nie spuszczał z niego wzroku. - I rozwiodłaś się. Pete nawet pokazał mi zdjęcie twojego syna.

Chociaż nic nie wskazywało na to, żeby coś podejrzewał. Kara poczuła, że krew zastyga w jej żyłach. Przełknęła dwa razy ślinę, zanim zdołała wykrztusić odpowiedź.

- Moje życie osobiste to nie twoja sprawa.

- Kiedyś było inaczej. - Przejechał długim, opalonym palcem po swoim kubku.

- Dawno i nieprawda, John. - Zanim wybrałeś byki i zostawiłeś kobietę, którą

podobno kochałeś.

Zanim pozwoliłeś, żeby obce dziewczyny leżały w twoich objęciach zamiast mnie. Zanim sama jak palec zaczęłam wychowywać twoje dziecko. Nasze dziecko.

Przed oczami miała widok bladej i drżącej dziewiętnastoletniej dziewczyny, jaką wtedy była. Stała nieruchomo nad umywalką z wynikiem testu ciążowego w ręku. Pamiętała zapach sadzonych jajek, gdy po raz pierwszy poczuła poranne mdłości. Spuchnięte, obolałe stopy i kręgosłup, którego nie miał kto jej wymasować. I poród, który trwał dwadzieścia godzin. A potem nikt nie przyszedł powiedzieć, że ją kocha. Kara Dean Taylor już nigdy nie da się oszukać.

- Wybacz, ale nie mam ochoty na wspomnienia.

- A jeśli ja mam? - Uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały czujne. - Musimy sobie wyjaśnić kilka spraw.

Gdyby to wszystko nie było takie smutne, mogłaby się roześmiać. Faktycznie mieli sporo spraw do wyjaśnienia, ale wcale nie to, o czym myślał. On najwyraźniej chciał z nią poflirtować, ale Kara dostała już nauczkę. Stare przysłowie mówi, że kto raz się sparzy, ten na zimne dmucha. Ona sparzyła się dwa razy. Raz, gdy zostawił ją John, a potem, gdy wyszła za Josha Riddleya, żeby chronić swe dziecko i uniknąć złośliwych plotek.

Oszukiwała siebie i Josha, wmawiała mu, że poślubiła go z miłości, a nie z rozpaczy. Josh od razu domyślił się prawdy, tak jak ona szybko poznała jego skłonność do nadużywania alkoholu i awantur. Teraz myślała, że pewnie łatwiej byłoby jej znieść samotność i rozpacz ojca, niż żyć z Joshem, ale nie mogła przecież przewidzieć przyszłości.

Pete miał bardzo tradycyjne poglądy. Nie mógłby spojrzeć ludziom w oczy, gdyby wszyscy wiedzieli, że jego jedynaczka, oczko w głowie, ma nieślubne dziecko. Josh zatrął jej życie, ale ten seksowny, przystojny kowboj, który teraz siedział naprzeciw niej, zrobił coś znacznie gorszego. Złamał jej serce.

Czuła w ustach smak słodkiej kawy, która rozgrzewała jej wyziębłe usta. Niektóre kobiety mają talent do tego, by wciąż wybierać niewłaściwych mężczyzn. Niestety, Kara była jedną z nich. Dwa razy się sparzyła, i to wystarczy.

Przełknęła kolejny łyk kawy.

- Wyjašnjmy sobie jedną rzecz, Murdock. Między nami wszystko się skończyło.

Z rozmachem odstawiła kubek. Trochę płynu wylało się na blat. Zsunęła się ze stołka, okrążyła barek i weszła do kuchni. John stał tak, że zasłaniał papierowe ręczniki.

- Gdybyś był dobrze wychowany, przesunąłbyś się albo podałbyś mi ręcznik.

Uśmiechnął się i skrzyżował ręce na piersi, opierając się plecami o szafkę.

Jego poza świadczyła, że chce sprowokować Karę.

A więc dobrze. Pokaże temu kowbojowi, jak bardzo jest jej obojętny.

Ciągle myśląc o jego zdradzie i sześciu latach cierpień, zbliżyła się i przechyliła w lewo, starając się go ominąć. Przesunął się nieznacznie. Nagle jej nos prawie dotknął klatki piersiowej mężczyzny, którego nienawidziła jak najgorszego wroga. Cudownie pachniał. Jej serce zabiło mocniej. To był ten ciepły, leśny zapach, który czuła na skórze i na ubraniu jeszcze długo po jego wyjeździe.

Zacisnęła zęby, żeby nie okazać wzruszenia.

- Daj mi ten cholerny ręcznik, Murdock.

- Daj mi ręcznik. Daj mi ranczo - przedrzeźniał ją, a jego usta były tak blisko jej włosów, że czuła jego gorący oddech. - Czy królowa sobie jeszcze czegoś życzy?

Był silny, ciepły, męski i tak jej bliski, choć minęło tyle lat. Na krótką chwilę oniemiała.

Twarda ręka kowboja objęła ją pieszczotliwie w talii. Kara poczuła, że topnieje jak wosk. Już miała się do niego przytulić, gdy pociągnął ją za koński ogon i opuścił rękę. Zachichotał i jego oddech połaskotał ją w twarz.

Odskoczyła w bok. Jak on śmie się z nią drażnić! I dlaczego, u licha, prawie mu uległa?

Nie przejmując się już plamą po kawie, odsunęła się. Jeśli sądził, że ona nie pamięta, jak ją skrzywdził, to był w błędzie. Kiedyś mógł z nią zrobić wszystko, co chciał, ale teraz miała na uwadze przede wszystkim dobro swego syna.

- Nic się nie zmieniłeś, Murdock - powiedziała, łapiąc oddech. - Jesteś tym samym zarozumiałcem co kiedyś i myślisz, że wszystkich uda ci się oczarować. Ale coś ci powiem, kowboju. Osiodłaj konia i ruszaj tam, skąd przyjechałeś. Tylko zanim wyjedziesz, oddaj akt własności rancza.

Stanął w rozkroku i z jego twarzy nie można było nic wyczytać, choć prawdopodobnie tylko udawał obojętność.

- Przykro mi, kochanie, ale ten stary kowboj nigdzie się nie wybiera.

- W takim razie pozwę cię do sądu.

- Nie masz podstaw. To ranczo należało do twojego ojca.

- Tata chciał, żeby mój syn odziedziczył tę ziemię.

- Możliwe. Ale gdybyś naprawdę myślała, że on kiedyś przejmie tę ziemię, to byś z nim tu zamieszkała. Chłopak wychowany w mieście nie umie prowadzić rancza.

- Uczę go.

- Jak? Zabierasz go na kowbojskie filmy? Czy może pozwalasz mu jeździć na plastikowym koniu w sklepie z zabawkami? Też mi nauka...

- Lane jeździ równie dobrze, jak ja w jego wieku.

John odsunął się od barku i zrobił krok w jej stronę.

- A jego ojciec? Może ma własne plany co do chłopca?

Kara aż zadrżała na myśl, że ktoś mógłby odkryć sekret.

- Mój syn od dawna nie widuje się ze swoim ojcem. Josh Riddley nie ma nic do powiedzenia w sprawie Lane'a. Tak było i tak zostanie.

John zagwizdał ze zdumienia.

- To był chyba ciężki rozwód.

- Na tyle ciężki, że ani ja, ani Lane nie nosimy nazwiska mojego byłego męża.

Lane jest mój i tylko mój. - Może to odpowiedni moment, żeby mu powiedzieć? - Oboje nosimy nazwisko Taylor. To ranczo zawsze należało do Taylorów. Dlatego nie wyjadę stąd, dopóki go nie oddasz.

- W takim razie, kochanie - powiedział z błyskiem w oczach, wkładając ręce do kieszeni i odchylając się do tyłu - mam nadzieję, że wzięłaś szczoteczkę do zębów, bo czeka cię tu długi pobyt.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

John wylał resztki kawy do zlewu, umył kubek i postawił go do góry dnem na blacie, po czym to samo zrobił z kubkiem Kary. Dziesięć lat samotnego życia nauczyło go, że nikt go w niczym nie wyręczy. Jeśli nabałaganił, to musiał posprzątać. Bałagan, jakiego narobił dawno temu, zmusił go do przyjazdu do Bootlick. Niestety, ledwie się tu pojawił, znów narozrabiał jak pijany zając.

Nie mógł uwierzyć, że jest teraz właścicielem rancza, na którym spędzał wakacje, będąc w szkole średniej i w college'u. Wrócił tu, żeby kupić kawałek ziemi, ale wcale nie myślał o tym ranczu. John wiedział, że Pete jest hazardzistą, lecz miał zamiar zwrócić mu wygraną, gdy tylko Pete wytrzeźwieje. Wtedy poznał smutną prawdę. Ranczo tonęło w długach i jeśli nie przejmie go John, to zajmą się tym ludzie z banku. To byłby straszny cios dla człowieka tak dumnego jak Pete. Samo mówienie o tym sprawiało mu ból. Gdyby sąsiedzi i znajomi dowiedzieli się o jego klęsce, załamałby się. A gdyby dowiedziała się córka, Pete chyba postradałby zmysły.

Po trzech dniach dyskusji i przeglądania rachunków John zrozumiał wreszcie, czemu Pete chce mu oddać ranczo. Za pieniądze, które wygrał na rodeo, John mógłby spłacić długi i zainwestować w unowocześnienie gospodarstwa. Ranczo formalnie stanowiłoby jego własność. Pete prosił w zamian tylko o dwie rzeczy: o stałą pracę w gospodarstwie i zachowanie tej umowy w sekrecie. Kara nie mogła poznać prawdy.

Kara. Gdy przypomniał sobie jej zielone oczy pełne wściekłości, poczuł ból. Kiedyś się kochali, ale byli zbyt młodzi i głupi, żeby ułożyć sobie życie. Szkoda, że teraz nie mogą być nawet przyjaciółmi. Prawdę mówiąc, czuł do niej coś więcej niż przyjaźń. Kiedy podeszła do niego, musiał z całej siły powstrzymać się, żeby jej nie objąć.

Oparł łokieć o blat i zapatrzył się w przestrzeń. Źle się czuł w roli bez-

względnego łotra, ale poczucie lojalności wobec przyjaciela, który nauczył go pracy na ranczu i zrobił z niego mężczyznę, było sprawą nadrzędną. Chciał uratować honor Pete'a nawet za cenę własnego honoru, choć wiedział, że Kara go znienawidzi. Potrząsnął głową z politowaniem. Przecież i tak już go nienawidziła.

Również mieszkańcy Bootlick nie będą zaskoczeni, że nie oddał rancza tak jak jego poprzednicy. Zawsze uważali go za obwiesia. Wytykali go palcami i musieli nieźle plotkować, gdy wyjechał z miasta. „Wdał się w swego ojca włóczykija”, mówili z pewnością. W głębi duszy czuł, że chyba mieli rację.

Od lat nigdzie nie zagrzał miejsca dłużej niż przez kilka miesięcy. A może to nie była jego wina? Może miał to w genach i nie było sensu z tym walczyć? No cóż, kiedy przejmie ranczo, przekona się o tym raz na zawsze.

Gdy sięgał po ręcznik, za oknem mignęła mu sylwetka Kary. Z zaciśniętymi pięściami kroczyła w stronę przyczepy, jak szarżujący byk. Jasny koński ogon wystawał przez otwór z tyłu różowej czapki.

John pochylił się do przodu, żeby się lepiej przyjrzeć, i uśmiech rozjaśnił jego przygnębioną twarz. Rany boskie, ależ ta kobieta miała ikrę!

Weszła po schodkach do przyczepy gotowa stoczyć walkę w obronie honoru rodziny. Szalona kobieta. Gdyby знаła prawdę... Ale ona i stary Pete zawsze przed sobą wiele ukrywali, bo nie chcieli się ranić.

Zastanawiał się, co by było, gdyby teraz poszedł do nich i wyłożył kawę na ławę. Oczywiście nie mógł tego zrobić. Złożył Pete'owi obietnicę.

A to dopiero, pomyślała Kara, patrząc z pogardą na starą przyczepę mieszkalną. Kiedyś pomalowana na śliwkowo, teraz miała szarofioletowy kolor. Dolna listwa była z jednej strony wgięta. Drzwi frontowe zwisały krzywo na zawiasach. Nawet fiołki kwitnące przy schodach były zaniedbane. I pomyśleć, że jej ojciec zamienił swój ukochany dom na tę rozpadającą się przyczepę. Gdyby nie to, że już była wściekła, to teraz na pewno straciłaby resztki dobrego humoru.

Cóż, przyczepa będzie musiała im wystarczyć. Nie ma wyboru. Potem trzeba się będzie zastanowić, jak odebrać temu łobuzowi ranczo. Kto wie, do czego jest jeszcze zdolny Murdock. Nie miała ochoty zbliżać się do tego czarnookiego diabła, ale gdyby teraz wyjechała, Lane nie odzyskałby nigdy tego, co mu się należało. A John Murdock znów by ją okradł. Wytrzymają z ojcem w tej przyczepie, dopóki nie pozbędą się Murdocka. Jednak trzeba natychmiast przystąpić do działania. Została syna pod opieką zaufanej przyjaciółki i już za nim tęskniła. W żadnym wypadku nie mogła przywieźć go teraz na ranczo. Nie chciała, by Murdock poznał Lane'a.

Weszła po drewnianych schodkach i pchnęła drzwi. Ani drgnęły. Szarpnęła, i drzwi otworzyły się od razu. Z westchnieniem ulgi weszła do środka. Przywitał ją zapach świeżo pieczonego chleba. Kimkolwiek była Sally, zasługiwała na uznanie.

Pod oknem małej, zagraconej przyczepy stał stary, ukochany fotel Pete'a. W fotelu siedział ojciec. Kara nie mogła powstrzymać uśmiechu. Jej ojciec miał zachwyconą minę, jak kot wygrzewający się na słońcu.

- Cieszę się, że wreszcie przyszłaś. - Pete przysunął podnózek do fotela. - Mam nadzieję, że już ci przeszło i jesteś w lepszym humorze. Mężczyźni nie lubią, jak się ich krytykuje w obecności innych.

Ta nieznośna i śmieszna samcza duma. Kara poczuła się winna, choć wiedziała, że racja była po jej stronie.

- Przepraszam, tato. John Murdock doprowadza mnie do wściekłości.

- Nigdy nie był ci obojętny.

- To już przeszłość.

- No tak. - Ojciec potarł ręką bokobrody. - Ale teraz musicie się dogadać. On jest tu panem. - Podniósł do góry rękę. - Tylko nie zaczynaj od nowa. Dotrzymam umowy i dobrze o tym wiesz.

- Nie rozumiem cię, tato. Jak możesz oddać bez walki coś, na co pracowałeś przez całe życie? Przecież z tym domem wiążą się twoje wspomnienia.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

Kara zacisnęła usta i westchnęła.

- Przestań się bocyć i przywitaj się z Sally.

Kobieta o miłej twarzy i przyprószonych siwizną włosach wyszła z kuchni i zajrzała do pokoju. Jej pulchne policzki były lekko zaróżowione i Kara pomyślała, że Sally jest bardzo przejęta tym spotkaniem.

Gdy przywitały się, Kara powiedziała:

- Nie mogę się doczekać, kiedy spróbuję tego chleba. Ślinka mi cieknie od chwili, gdy otworzyłam drzwi.

Sally uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Lunch już jest gotowy. Usiądźmy przy stole.

Kiedy usadowili się, starsi państwo spojrzeli po sobie. Kara dostrzegła, jak twarz ojca łagodnieje. O co chodzi? Pete odchrząknął.

- Kochanie, ja i Sally chcemy ci coś powiedzieć.

Kara poczuła się nieswojo. Patrzyła na nich w napięciu, nerwowo popijając herbatę.

- My dwoje... Sally i ja... dotrzymujemy sobie towarzystwa. We dwoje jest różniej.

Czy dobrze zrozumiała? Zanim zdążyła o cokolwiek spytać, Pete wstał z krzesła, okrążył stół i położył ręce na ramionach Sally. Jego zniszczone i sękaty palce wyglądały dziwnie na kwiecistej bluzce Sally.

- Sally mieszka ze mną w przyczepie i gotuje mi posiłki. Kiedy John przejął ranczo...

Karze zaświtało w głowie. Sally i Pete byli parą.

Jej ojciec zakochał się. Z jednej strony było jej przykro, że Sally zajęła miejsce matki, ale z drugiej strony cieszyła się szczęściem ojca. Mimo wszystko ta sytuacja trochę ją zaszokowała. Co gorsza, nie mogła teraz poprosić Pete'a, by pozwolił jej zamieszkać w ciasnej przyczepie.

Kiedy skończyli jeść, Kara znalazła jakąś wymówkę, żeby szybko wyjść. Chciała wszystko przemyśleć. Postanowiła zajrzeć do stajni.

Gdy na dworze było brzydko, zamykano ją, ale dzisiaj świeże wiosenne powietrze wdzierało się do środka, mieszając się z zapachem koni i siana. Kara westchnęła z zadowoleniem. Znajomy koński łeb wychylił się z trzeciego boksu.

- Taffy. - Kara pogłaskała aksamitny nos. Klacz wyścigowa Taffy była jej wierną przyjaciółką od czasów szkoły średniej. Wierną i wyrozumiałą.

Kara odsunęła zasuwę i weszła do boksu, odruchowo sięgając po szczotkę, żeby wyczesać konia.

- Ty też masz kłopoty? - spytała ze smutkiem.

Niestety, rozmowa z ukochaną klaczą nie poprawiła Karze humoru. Nie mogła wyjechać, dopóki nie załatwi sprawy rancza, ale tymczasem nie miała się gdzie zatrzymać.

Przyczepa nie wchodziła w grę, więc zostawał tylko dom, stodoła albo tylne siedzenie w samochodzie. Żadne z tych rozwiązań nie było przyjemne. Przyjechała, bo była pewna, że jej dawny pokój będzie na nią czekał, tak jak zawsze.

Pomyśleć, że może już nigdy nie położy się w swoim łóżku, by popatrzeć na rozgwieżdżone niebo. Ani nie zobaczy, jak nad stawem unosi się poranna mgła. Serce ścisnęło jej się z żalu. Tak chciała, żeby Lane zamieszkał na tym ranczu.

Na myśl o synu zeszytniała. Od chwili gdy przyszedł na świat, musiała zmagać się z różnymi problemami. Teraz też będzie walczyć, nie podda się.

Położyła rękę na ciepłej, smukłej szyi konia. Ten dom należy do niej i do Lane'a. Nikt im go nie zabierze, a zwłaszcza jakiś obieżyświat.

Jeśli John myśli, że ona potulnie wyjedzie do Oklahomy, to jest w dużym błędzie. Zrobiłaby wszystko, żeby zapewnić wspaniałą przyszłość swemu dziecku. Nawet gdyby to oznaczało, że musi zamieszkać pod jednym dachem z wrogiem. Trudno...

Na samą myśl o tym ciarki przeszły jej po plecach. Czy bała się, że prawda

wyjdzie na jaw i John dowie się, że Lane jest jego synem? Pewnie tak. Nie wierzyła mu za grosz. I nigdy nie pozwoli, żeby jakiś mężczyzna decydował o jej życiu. Już nie popełni tego błędu.

Wciągnęła haust powietrza, które pachniało sianem, zaśmiała się i poklepała klacz po szyi. John nie wie, że czeka go niespodzianka. Będzie mieć w domu gościa.

- Chodź, Taffy, sprawdzimy, czy Murdock dobrze się opiekuje moim ran-
czem.

Odłożyła szczotkę, wzięła Taffy za uzdę i otworzyła drzwi stajni. Nie zdążyła jeszcze wyjść, gdy usłyszała skrzypienie butów na drewnianej podłodze.

- Co tutaj robisz? - Ten wstrętny typ zbliżał się do niej.

Podniosła dumnie głowę.

- Chcę pojeździć konno.

- Nie będziesz jeździć.

Kara zignorowała jego słowa i poprowadziła klacz do wyjścia. John wyciągnął rękę i złapał ją za ramię z taką siłą, że zatrzymała się. Spojrzała na palce, które wpijały jej się w ciało.

- Puść mnie.

Szarpnęła się, ale John nie zwolnił uścisku i zmusił ją, by wróciła razem z koniem do boksu. Poczowała się jak w pułapce.

- Ale z ciebie twardziel - syknęła złośliwie. - Okradasz starszków i walczysz z kobietami, które sięgają ci do pasa. To naprawdę imponujące.

John zwolnił uścisk. Powinien być mądrzejszy. Już zapomniał, jaki ta kobieta ma temperament. Kara wyswobodziła ręce, zacisnęła je w pięści i zaczęła walić nimi w jego pierś. Wreszcie mogła wyrzucić z siebie ból i wściekłość, które tłumiała przez sześć lat.

- Ty łajdaku, oszuście, złodzieju... - Obrzucała go wszystkimi wyzwiskami, jakie przyszły jej do głowy.

Nagle zorientowała się, że John w ogóle się nie broni. Jego mięśnie były rozluźnione i robił uniki tylko wtedy, gdy jej pięści zbliżały się do jego twarzy.

- Kara - powiedział bardzo spokojnie, gdy przerwała na chwilę, żeby złapać oddech.

Wymierzyła cios w jego lewe ramię.

- Jeśli myślisz, że zabronisz mi jeździć na moim własnym koniu...

- Kara - powtórzył, nie dając się wyprowadzić z równowagi.

Zanim wymierzyła kolejny cios, zauważyła dziwny uśmiech na jego twarzy.

- Co?

- Taffy skaleczyła się w pęcinę. Weterynarz założył jej rano szwy, ale jeszcze nie można na niej jeździć.

- Ojej! - Z Kary uszła cała złość.

A to dopiero! Zrobiła z siebie idiotkę. Napadła na niego jak furia, a on tylko próbował chronić konia.

Wiedziała, że powinna go przeprosić. Próbowwała zapomnieć o dumie i znaleźć odpowiednie słowa, gdy nagle Taffy uznała, że za długo stoi nieruchomo, i przesuwała się w bok. Kara cofnęła się i nagle zabrakło jej oparcia. John także upadł, lądując z nią na stercie siana.

Jego czarne oczy spoglądały na nią z odległości zaledwie kilku centymetrów. Czowała na policzku ciepło jego oddechu, gdy leżeli na sobie, nie mogąc ochłonąć ze zdziwienia.

Jego kapelusz potoczył się na bok i włosy rozsypały się na czole. Serce Kary zabiło szybciej. Właśnie tak widziała go w swoich snach. Na dodatek podobną twarz oglądała każdego ranka. John i Lane byli do siebie bardzo podobni. Uniosła rękę jak zahipnotyzowana, żeby odgarnąć pasmo włosów, które opadło mu na twarz. Kiedy dotknęła go, uśmiech znikł z jego twarzy. Oczy koloru onyksu wpatrywały się w nią badawczo, z napięciem.

- Kara - szepnął cicho.

Wiedziała, że powinna zerwać się na równe nogi, wybiec ze stodoły, a potem jak najszybciej uciec na koniec Świata. Ale leżała jak sparaliżowana, zupełnie bez ruchu. Wpatrywała się z napięciem w jego twarz i drobne zmarszczki wokół ust i oczu.

Pocałował ją i przypomniała sobie wszystkie spędzone z nim chwile, słodkie i pełne namiętności. Dlaczego na to pozwoliła? Przecież wcale tego nie chciała. Wciąż dobrze pamiętała, jak cudownie było im kiedyś razem.

John był jej bliski, choć jednocześnie obcy i odległy. Jak można pogodzić te uczucia? Było jej dobrze, choć wiedziała, że postępuje niewłaściwie. Zbyt mocno go kochała, a potem... nienawidziła z równą pasją.

Woń siana, ciche parskanie konia, silne ramiona Johna - to wszystko przypomniało jej ich ostatnią wspólną noc. Była wtedy zrozpaczona, naiwnie wierzyła, że skoro go kocha, to on jej nie opuści. Ale wyjechał. Gdy ona nosiła w sobie jego dziecko, zdradzał ją gdzieś z inną kobietą.

Kara otrząsnęła się ze wspomnień.

Co ona wyprawia? Przyjechała, żeby wyrzucić Murdocka z rancza, a nie po to, by wikłać się z nim w romans. Przecież dostała już nauczkę.

Choć jej serce rwało się do niego, a jej ciało pragnęło rozkoszy, nie mogła zapomnieć, jaką cenę zapłaciła za upojne chwile uniesień.

John musiał wyczuć jej wahanie, bo znieruchomiał. Słyszała, jak mocno bije jego serce. Z całej siły odepchnęła go, pragnąc, by zniknął, zanim będzie za słaba, by oprzeć się potężnej pokusie.

Po chwili się odsunął. Jedną ręką przykrył oczy. Pierś mu falowała. Kara leżała na kłującym sianie i kręciło jej się w głowie.

Z płonącymi policzkami usiadła i zaczęła otrzepywać ubranie. Usłyszała, że on także się podnosi. Zrobiła ruch, jakby chciała zerwać się do ucieczki.

- Zaczekaj, Kara - powiedział ochrypłym głosem.

Bała się tego, co jej powie, ale posłusznie została. Kiedy zaczął wyjmować z

jej włosów zdźbła słomy, przeszedł ją dreszcz. Nie powinien jej dotykać. Odsunęła się i wstała, chcąc jak najszybciej odejść.

John przyglądał się jej, wsparty na łokciu.

- Przeprosiłbym cię, ale nie czuję się winny.

Wierzchem dłoni potarła wilgotne, nabrzmiące wargi. Nadal czuła na nich jego pocałunek.

- Oczywiście. Ty zawsze zachowujesz się właściwie.

Niewątpliwie ten pyszałkowaty łobuz sądził, że parę pocałunków i igraszki na sianie złamią jej opór. Liczył, że ona wróci do miasta i pozwoli mu zatrzymać ranczo. Nic z tego. Ona nie da się już nabrać na pocałunki i słodkie kłamstwa.

- Naprawdę myślałeś, że uda ci się uwieść mnie i zapomnę o tym, co należy się mojemu synowi?

- Nawet nie przyszło mi to do głowy. - Spojrzał na jej falującą pierś. - Zwłaszcza że nigdy przedtem nie musiałem cię uwodzić.

Zesztywniała i zacisnęła pięści. Miał rację, i tym bardziej czuła się poniżona.

- Ty egoistyczny...

Uniósł rękę w pojednawczym geście i potrząsnął smutno głową.

- Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

Sięgnął po kapelusz i otrzepał go o kolano.

- Spójrz prawdzie w oczy, Kara. Nawet gdyby ranczo należało do ciebie, nie mogłabyś prowadzić go, mieszkając w Oklahomie.

- Miałam zamiar wrócić do domu.

- Kiedy? Jak wszystko zamieni się w ruinę? Czy rozejrzałaś się dokoła?

Wiesz, ile tu trzeba włożyć pracy?

Nie miała pojęcia, ale nigdy by się do tego nie przyznała.

- Dam sobie radę. - Uniosła dumnie brodę.

- Wybacz, że ci to mówię, ale nie da się prowadzić rancza w weekendy. Poza tym nigdy nie zależało ci na tym miejscu. Nie mogłaś się doczekać, żeby stąd wy-

jechać.

- Mówiłam ci, że miałam powody.

- Oczywiście. - Wsunął kapelusz na głowę, oczy mu błysnęły. - Josh Riddley, tak? Ledwo wyjechałem z miasta, a już się z nim zadałaś. Chociaż zapewniałaś, że jesteś bardzo przywiązana do mnie i do tego rancza.

Była zaskoczona, że znał nazwisko jej byłego męża. Ale to dobrze. Dopóki będzie o niej źle myślał, jej sekret się nie wyda. Na razie nic nie wskazywało, że domyśla się prawdy.

- To ty złamałaś obietnicę, kowboju. Ale to już nie ma znaczenia. - Uniosła do góry wskazujący palec. - Powiem ci jedno. Ja tu zostaję - w moim domu i w moim pokoju. Nie ruszę się stąd, dopóki mi nie oddasz mojej ziemi.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

John stał oparty o płot, przyglądając się pogrążonemu w mroku ranczu. Żaby rechotały nad stawem, świerszcze dawały wspaniałe koncerty, a gdzieś w oddali zarysował się koń. W księżycowej poświacie budynki i zagrody, konie i pojazdy wyglądały bajkowo. Niebo było jak zasłona z czarnego aksamitu ozdobiona diamentami.

Spojrzał w stronę domu i zobaczył, że w kuchni zapaliło się światło. To na pewno Kara. Zaburczało mu w brzuchu i przypomniał sobie, że mimo późnej pory nie jadł jeszcze kolacji. Ale kiedy Kara wyszła ze stodoły, wołał nie iść za nią do domu.

Nie miał zamiaru jej pocałować, ale tego już nie można było cofnąć. Prawdę mówiąc, nie chciałby tego cofnąć. Stracił głowę, gdy poczuł przy sobie jej ciało. To pewnie zwykłe pożądanie. Każdy prawdziwy mężczyzna pożądałby takiej kobiety jak Kara. Ale to nie było tylko to. Zmarszczył czoło, zastanawiając się, co właściwie czuł do dawnej narzeczonej. Znali się długo, ale teraz więcej ich dzieliło, niż łączyło. Trzasnęły drzwi i usłyszał głos Pete'a, jednak nie zrozumiał sensu słów.

Gdy dobiegło go skrzypienie butów, uświadomił sobie, że Pete zmierza w jego stronę. W świetle księżycy wyglądał jak upiorna zjawia.

- Znów dokucza ci kolano? - spytał John.

Pete wzruszył ramionami.

- Wiesz, jak to jest.

Wiedział. Każdy kowboj spada z konia, aż w końcu zdrowie zaczyna szwankować. Z wiekiem coraz bardziej.

- Kara wyrzuciła cię z domu? - spytał, dając do zrozumienia, że są ciekawsze sprawy niż jego dolegliwości.

John westchnął.

- Jest naprawdę wściekła.

- Mówiłem ci, że tak będzie. - Pete wyciągnął z kieszeni pudełko tytoniu,

wziął szczyptę i włożył sobie za dolną wargę.

John odwrócił się do niego.

- Co jej się stało, Pete? Niby jest taka sama, ale zachowuje się dziwnie.

- Boi się. Brak jej pewności siebie. Może dlatego, że straciła tak wcześnie matkę. Ale czasem myślę, że to przez ciebie.

- Przeze mnie? - Był zaskoczony. - To nie za mnie wyszła za mąż.

- Nie - parsknął Pete.

John przyjrzał się uważnie jego twarzy.

- Nie lubiłeś go, co?

- Mało go znałem, ale nie podobało mi się to małżeństwo. Nie była z nim szczęśliwa.

John nie mógł tego zrozumieć. Jeśli nie była z nim szczęśliwa, to dlaczego za niego wyszła? I miała z nim dziecko? Myślenie o tym sprawiało mu ból. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, dlaczego natychmiast po jego wyjeździe Kara zaszła w ciążę.

- Myślisz, że zostanie? - John spojrzał w stronę domu. Światło w kuchni nadal się paliło, a sylwetka Kary poruszała się za oknem. Wyteńczył wzrok, żeby ją lepiej widzieć. - Będzie walczyć o ranczo?

- Nie. - Pete oparł się łokciem o poręcz, odciążając bolące kolano. - Kara jest zwariowana na punkcie Lane'a. Nie wytrzyma bez niego dłużej niż dzień lub dwa.

- To dlaczego go tu nie przywiozła?

- Chłopak chodzi do przedszkola. Ale Kara nie lubi się z nim rozstawać.

Wkrótce wyjedzie, ja ci to mówię.

John zerknął na przyjaciela. Palce Pete'a, kiedyś tak zręczne w rzucaniu lassa, były opuchnięte w kostkach. Siwe włosy, kiedyś czarne jak skrzydło kruka, zaczęły się przerzedzać. Z bólem pomyślał, że jego przyjaciel i nauczyciel się zestarzał. Nic dziwnego, że tak ochoczo pozbył się rancza.

Zastanawiał się, czy Kara też to zauważyła. Czy dostrzegła, że jej ojciec tęsk-

ni za córką i wnukiem?

- Chciałbyś, żeby mieszkała bliżej, prawda, Pete?

- Pewnie. - Gdy mówił, widać było w jego ustach tytoń. - Dawno temu obiecała mi wnuka. Ubzdurała sobie, że zawsze chciałem mieć syna. Oczywiście to nieprawda. Nie zamieniłbym swojej ukochanej córeczki na tuzin chłopców. Ale teraz, gdy mam wnuka, to nie jest w porządku, żeby on mieszkał w Oklahomie, a ja w Teksasie. Chłopak potrzebuje męskiej ręki, sam rozumiesz.

- Czy Riddley w ogóle nie zajmuje się chłopcem?

Pete potrząsnął głową.

- Nie. Nie wiem, co między nimi zaszło, ale ona ma go dosyć. Nie pozwala mu odwiedzać dziecka.

- Nie pytałeś jej nigdy, o co poszło?

- Gdyby chciała, powiedziałaaby mi to sama.

John zastanowił się. To prawda, że chłopcy potrzebują męskiej opieki. Pete kiedyś zastępował mu ojca. Bez niego byłby takim samym nicponiem jak jego własny ojciec.

Sam Murdock przez całe życie oszukiwał żonę. Kiedy John miał trzynaście lat, Sam wyruszył na rodeo ze swoją nową kochanką i John nigdy więcej go już nie zobaczył. W Bootlick plotkowano, że uroda i wdzięk chłopca także sprowadzą go na manowce. „Ta sama krew”, mawiali na jego widok.

Jego matka była mądrą kobietą i poprosiła Pete'a o pomoc. Znalazła sposób, by niesforny chłopak mógł wyładować nadmiar energii.

Potem John zakochał się w córce Pete'a, uwiódł ją i porzucił. Ta zdrada wobec Pete'a i Kary dręczyła go do tej pory. Czasami bał się, że krew Murdocka płynąca w jego żyłach nie pozwoli mu żyć uczciwie.

Tak. Był winien Pete'owi nie tylko dach nad głową i pracę.

Trzeba coś wymyślić.

Pete chciał, żeby Kara z synem wrócili na ranczo. Kara pragnęła przekazać

ranczo dziecku. A on chciał przekonać się, czy potrafi żyć uczciwie. Był sposób, by załatwić wszystkie sprawy za jednym zamachem.

- Pete, mam pomysł, jak zmusić Karę, żeby tu zamieszkała.

- Ho ho, Kara nie lubi, jak się ją do czegoś zmusza. Zobaczysz, że będzie wściekła.

John zaśmiał się. Nagle miał ochotę zobaczyć wściekłą Karę.

- Nie wątpię.

- Lepiej uważaj. Klótnie z nią to nie przelewki. - Pete zaśmiał się. - Idę do domu. - Poklepał przyjaciela po ramieniu. - Sally upiekła ciasto z wiśniami i jeden kawałek przed snem chyba mi nie zaszkodzi. Dasz się skusić?

- Innym razem, Pete. Dziękuję.

Kiedy Pete zniknął w ciemnościach, John zapatrzył się w atramentowe niebo.

Kiedyś lubili obserwować gwiazdy razem z Karą. Nie tylko to. Byli głupimi dziećmi, bardzo zakochanymi w sobie. Przypomniawszy sobie, jak kochali się na derce nad brzegiem strumienia. Kilka kroków dalej ich konie skubały gęstą koniżynę, a żaby kumkały tak pięknie, że nigdy nie zdarzyło mu się słyszeć bardziej romantycznej muzyki. W świetle księżyca twarz Kary połyskiwała srebrem, a jej zielone oczy spoglądały łagodnie, gdy na głos marzyła o przyszłości.

- Spójrz, to nasza gwiazda - powiedziała, wyciągając palec.

- Powiedz, czego pragniesz.

- Wiesz, czego pragnę. - Przytuliła się do niego. - Chcę, żebyśmy się pobrali i mieli syna podobnego do ciebie.

Ucałował jej nos.

- Będzie się nazywał Lane.

- Tak jak najslynniejszy kowboj, Lane Frost.

I nazwała chłopca tak, jak sobie wymyślili dawno temu. Ból, wywołany jej zdradą, wciąż był świeży. Nie mógł jej wybaczyć, że wyszła za mąż wkrótce po jego wyjeździe. Wtedy wmawiał sobie, że zrobiła to z rozpaczy lub ze złości, by go

ukarać. Ale kiedy urodziła syna, przeżył szok. Przecież należała do niego i nikt inny nie miał prawa zostać ojcem jej dziecka.

Odszukał na niebie ich gwiazdę i wypowiedział życzenie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kara wtuliła głowę w poduszkę i uśmiechnęła się, rozkoszując się zapachem świeżego rannego powietrza, które napływało przez na wpół otwarte okno. Łóżko było ciepłe, a ptaki za oknem zanosiły się od śpiewu. Nie pamiętała, kiedy ostatnio spała tak dobrze, mimo że wydarzenia poprzedniego dnia naprawdę wytrąciły ją z równowagi.

Myślała, że nie zaśnie przez pół nocy, rozmyślając o Johnie Murdocku, o tym, jak ją pocałował i jaka była jednocześnie wściekła i szczęśliwa. Ale po filiżance ciepłego kakao zasnęła jak suseł. Miała piękne sny, które teraz przemykały po zakamarkach jej podświadomości.

Ziewając i przeciągając się, usiadła na łóżku i rozejrzała się po pokoju, w którym mieszkała jako dziecko.

Luke Perry w roli Lane'a Frosta ze starego filmu „Osiem sekund” uśmiechał się do niej z plakatu. Obok sztandar szkoły „Texas A & M”, którą ukończył John i ona sama, na rok przed śmiercią mamy. Niżej, na toalecie, kilka starych kaset dawno zapomnianych śpiewaków country. Obok nich małe zdjęcie Kary siedzącej na Taffy. W tle matka, ojciec i John Murdock. Zdjęcie zrobiono podczas Krajowych Młodzieżowych Finałów Rodeo.

Pokój dziecienny to był jej bezpieczny azyl. Chętnie skryłaby się tu przed problemami, które czyhały na nią tuż za drzwiami.

Ale nie mogła. Przyszłość Lane'a była zagrożona. To nie czas, by spokojnie wylegiwać się w łóżku.

Wstała i wzięła prysznic, a potem włożyła dżinsy i biały podkoszulek z napi-

sem „Każda kowbojka powinna mieć kowboja. Ktoś musi posprzątać w stajni”. Zaczęła zastanawiać się nad kolejnym ruchem. Powinna pojechać do Bootlick. Prawnik James Culpepper nie jest taki sprytny jak miejscy adwokaci, ale zasługiwał na zaufanie. Przynajmniej powie jej, czy jest jakakolwiek szansa na odzyskanie rancza.

Trzaśnięcie drzwi oznaczało, że Kara już nie śpi. John stał na ciężarówce, trzymając w ręku linę, podczas gdy jeden z pomocników mocował u góry szyld. Ten szyld woził z sobą od pierwszej wielkiej wygranej na rodeo, bo miał nadzieję, że kiedyś zawiesi go przed własnym domem.

Na widok Kary zmierzającej w ich stronę zawołał do swego pomocnika:

- Będziemy mieć kłopoty.

Nie mógł oderwać oczu od Kary. Żołądek zaczął wyprawiać mu dziwne harce. Kara szła alejką, zaciskając pięści, a jej jasny koński ogon podskakiwał rytmicznie na plecach. Wiedziała, co robi John, i była wściekła jak diabli.

Matt Jacobs, młody kowboj, który od kilku lat pomagał na farmie, zszedł z drabiny, nie spuszczać oka z nadchodzącej kobiety.

- Nie chcę się w to mieszać. Idę do stodoły. Jak będziesz żywy po tym wszystkim, to mnie zawołaj i dokończymy pracę.

- A jak mnie zabije?

- To wtedy niech ona mnie zawoła. Wyniosę twoje ciało na śmietnik. - Matt zeskoczył na ziemię, rzucił jeszcze jedno spojrzenie na Karę i wycofał się pośpiesznie do stodoły. John uśmiechnął się i odwrócił w stronę Kary.

Przyjrzał się jej. Niewysoka, miała teraz pełniejsze kształty, płaski brzuch, zgrabne biodra. Mimo wszystko musiał przyznać, że nigdy nie widział atrakcyjniejszej kobiety. Choć minęło tyle czasu, nie była mu obojętna.

Zatrzymała się przy ciężarówce i spojrzała na niego z wściekłością. Rumieńce wystąpiły jej na twarz. Miał ochotę roześmiać się, ale wiedział, że wtedy naprawdę by go zabiła.

- Co ty wyrabiasz? - zawołała, oddychając tak gwałtownie, że jej piersi kuśszaco unosiły się i opadały w dół.

Starał się na to nie patrzeć, ale wyglądała naprawdę seksownie. O wiele bardziej niż kiedyś.

Na podkoszulku miała rysunek kowbojki w siodle. Gdy Kara szybko oddychała, kowbojka poruszała się w górę i w dół.

- Ten stary szyld trzeba było zdjąć, Karo. - Przesunął kapelusz do tyłu kciukiem i zerknął na nią z ukosa. - Był zupełnie nieczytelny.

- Nowy szyld to jedno. - Oczy koloru wzburzonego oceanu rzucały błyski, gdy spoglądała na niego i na szyld. - Ale nie zmienisz nazwy rancza.

- To już postanowione. - Otrzeputując ręce o dzinsy, przykucnął na ciężarówce. Kara była taka wściekła, że jej źrenice stały się niewidoczne, a z oczu sączył się zielony jad. Wprost uwielbiał, kiedy się złościła. Najchętniej pocałowałby ją teraz w same usta.

- Nowy właściciel i nowa nazwa.

Uderzyła ręką w karoserię. Huk metalu przeciął powietrze. Ktoś mniej odporny podskoczyłby do góry. Prawdę mówiąc, John także by podskoczył, gdyby nie przewidział reakcji Kary.

- Dlaczego nie podobała ci się dawna nazwa?

- Po prostu trzeba było ją zmienić. Mówiłem ci, że nowy właściciel powinien nazwać ranczo po swojemu.

- Czy tata zgodził się na to?

- Teraz ja tu rządę, Kara. Musisz to zapamiętać.

Zmarszczyła brwi i wskazała ręką szyld.

- „Gwiazda M”. Co to ma oznaczać?

Spojrzał z dumą na wielką srebrną gwiazdę, na której kazał namalować duże błękitne M.

- M jak Murdock.

- Ach, tak. Rozumiem. - Na jej twarzy pojawił się niesmak. Wzięła się pod boki. - Chcesz przypomnieć całemu światu, że John Murdock jest gwiazdą rodeo. Musiałeś wrócić, żeby pochwalić się przed wszystkimi swoim sukcesem, prawda?

Przysięgał sobie, że zachowa zimną krew, ale te słowa zabolowały go. Otworzył usta, żeby powiedzieć prawdę, ale się powstrzymał. Jeśli Kara tak o nim myśli, to trudno. Ranczo będzie teraz nazywało się tak, jak on chce, i to on tu teraz rządzi.

Wzruszył ramionami.

- Nie ma powodu wstydzić się swoich osiągnięć.

- Postaram się, by ranczo jak najszybciej wróciło do mojej rodziny. Właśnie jadę do Bootlick porozumieć się w tej sprawie z adwokatem.

- Ze starym Culpepperem? - Uśmiechał się, choć w głębi duszy czuł się urażony. - On nic ci nie pomoże, Kara. Szkoda twego czasu i benzyny.

- Nie przekonasz mnie, Murdock. Tylko sąd może zrobić z tym porządek.

- Znam lepszy sposób. - Może pod wpływem swoich fantazji, w każdym razie pogłaskał ją po rozpalonym policzku. - Właśnie chciałem o tym z tobą porozmawiać. Moglibyśmy pojechać do Bootlick na stek z frytkami i kokosowe ciasto Berty Renick.

Kara odskoczyła od niego jak oparzona. Kowbojka na podkoszulku podskoczyła jeszcze szybciej.

- Nie myśl, że jestem idiotką, Murdock. Za dobrze znam twoje sztuczki. Możesz mówić, co chcesz, i tak spotkam się z Jamesem Culpepperem.

- Jeśli masz ochotę, nie będę cię powstrzymywał. Bardzo dobrze przygotował naszą umowę z Pete'em.

- Co? - Jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. - Byliście u prawnika?

- A co myślałaś? Że podpiszemy papiery własną krwią? Oczywiście, że byliśmy u prawnika.

Na ślicznej twarzy Kary malowały się niedowierzanie, bezradność i strach. Nagle zrobiło mu się jej żal. Gdyby nie musiał przyprzeć jej do muru, poddałby się

teraz bez wahania.

Zacisnął zęby i odwrócił się, prostując plecy. Mógł znieść jej wściekłość - to go nawet bawiło - ale widok jej cierpienia łamał mu serce. Nie mówiąc już ani słowa, wszedł na drabinę, wyciągnął śrubokręt z tylnej kieszeni i zaczął przykręcać nowy szyld. Kiedy odważył się zerknąć w dół, Kary już nie było.

Kara szarpnęła wściekle drzwiami.

- Wspaniale. Po prostu wspaniale. Co ja teraz zrobię? Jeśli ten dokument jest sporządzony zgodnie z prawem, to nie da się go unieważnić. - Kara miała szczerą ochotę zamordować Murdocka.

Stary telefon przy barku zadzwonił głośno.

- Halo! - warknęła do słuchawki. Chwyciła ręką za kontuar i wdrapała się na stołek.

- Czy to ty, Kara?

- Cześć, Marietta. - Westchnęła głęboko i spróbowała się opanować. Nie ma co wyzywać się na przyjaciółce, kiedy to John Murdock zasługiwał na stryczek. Z przyjemnością wyobraziła sobie, jak zwisa głową w dół z nowego szyldu. - Co słychać?

- Nic dobrego.

Tak jakby mało było jeszcze kłopotów. Kara zacisnęła rękę na słuchawce. Jej przyjaciółka była mistrzynią niedomówień.

- Czy Lane się dobrze czuje?

- No... właśnie dlatego dzwonię.

Ciarki przeszły jej po plecach. Marietta była jedną z niewielu osób, którym Kara bez wahania powierzała swoje dziecko.

- Co się stało? Czy miał wypadek? Jest chory? Mów, Marietto. Co się stało mojemu dziecku? - Mocno zacisnęła palce na kontuarze.

- Uspokój się, Karo. Ma wietrzną ospę.

- Och, nie!

- Powiedziałam, że ma wietrzną ospę, a nie dżumę, ale musi zostać kilka dni w domu, a ja nie mam kogo poprosić o pomoc. Musisz wracać.

Nagle wszystko się skomplikowało. Jej syn był dla niej najważniejszą osobą na świecie i była mu w tej chwili potrzebna. Ale jeśli wróci teraz do Oklahomy, Lane nie odzyska nigdy tego, co mu się należy.

- Co mam zrobić, Marietta? - jęknęła, łapiąc się za głowę. - Jeśli wyjadę, Murdock może podzielić ranczo na działki i zamienić je w parking. Już zawiesił nowy szyld i wyrzucił mojego biednego ojca do zrujnowanej przyczepy na podwórku. To co, że Pete jest szczęśliwy jak dziecko. Murdock nie powinien wyrzucać go z własnego domu.

- Jeśli jest tak źle, zostań na ranczu, ale przyjedź po synka.

Karę ogarnęła rozpacz.

- Nie mogę go tu teraz zabrać - krzyknęła. Lane musiał być jak najdalej od Murdocka.

- W takim razie wracaj tu i zapomnij o tym ranczu.

Kara wyobrażała sobie, jak jej rudowłosa przyjaciółka chodzi teraz niespokojnie po pokoju. Tryskająca energią Marietta nigdy nie siedziała beczynnie: układała ubrania, planowała nowy katalog na lato albo szykowała obiad, cały czas troszcząc się o Karę.

- Przecież dobrze ci tu idzie, Karo. Dlaczego chcesz tak ryzykować? Powiedz temu kretyńskiemu kowbojowi, że może zabrać sobie ranczo. Wróć do Oklahomy.

- Nie. To ranczo należy do Lane'a. Jaka byłaby ze mnie matka, gdybym pozwoliła mu je zabrać.

Marietta westchnęła z rozpaczą.

- Nie można mieć wszystkiego. Kiedy odzyskasz ranczo, Lane będzie musiał tam zamieszkać, prawda? Jeśli ci na tym zależy, walcz dalej. Ale Lane i tak musi się kiedyś spotkać z Murdockiem, więc może lepiej mieć to już za sobą.

Kara przeraziła się. Chciała tego, zawsze o tym marzyła, ale nagle...

- A jeśli ktoś się domyśli?

- Mówiłaś, że Lane wcale nie jest podobny do ojca.

- Z wyjątkiem oczu.

I nosa, i ust. I tak samo przechyla głowę, gdy się śmieje.

Drobiazgi, z których nie zdawała sobie sprawy, dopóki nie zobaczyła znowu Johna.

- W takim razie postaw wszystko na jedną kartę. Skoro dziadek Lane'a nic nie zauważył, to i Murdock się nie zorientuje. Zresztą mały ma wysypkę i sama go nie poznasz.

Kara błędziła spojrzeniem po kuchni. Chociaż stały tu teraz meble Murdocka, nadal czuła się w tym domu bezpieczna. Chciała, żeby tu wychował się jej syn. Każde dziecko musi mieć dom.

Czy uda się jej zachować w tajemnicy sekret, gdy będzie walczyć o ranczo? Bardzo się bała, że John domyśli się prawdy, ale nie miała wyboru.

Nikt nigdy nie podejrzewał, że Lane nie jest synem męża Kary. Ludzie nigdy nie plotkowali na ten temat. Jeśli ona sama nie zechce wyjawić sekretu, nikt nigdy nie musi się dowiedzieć.

- Kara. - Głos Marietty wyrwał ją z zamyślenia. - Muszę ci jeszcze coś powiedzieć.

- Dobrze, ale niech to już będzie koniec niespodzianek. Mam naprawdę dosyć.

- Josh był w sklepie i znowu sypał pogroźkami.

Strach schwycił ją za gardło.

- Co mówił?

- To co zawsze. Że prędzej czy później cię dopadnie i pożałujesz, że go tak potraktowałaś. Same bzdury.

- Chce się zemścić za to, że od niego odeszłam.

Chociaż nie mieszkali razem już prawie od trzech lat, jej były mąż często przychodził, by jej grozić. Nie był dobrym jeźdźcem i nigdy nie doszedł do finałów

rodeo. Kiedy przegrywał, miał pretekst, żeby się upić. Nie kochał jej ani Lane'a i lubił się nad nimi znęcać. Zrzekł się wszelkich praw do dziecka, gdy Kara podpisała oświadczenie, że nie będzie domagać się pieniędzy na utrzymanie syna.

Powrót Josha Riddleya do Oklahomy był czymś gorszym niż spotkanie Lane'a z Murdockiem.

Westchnęła głęboko i powiedziała:

- Spakuj rzeczy Lane'a. Już po niego jadę.

John otarł rękawem kurz, który osiadł mu na twarzy, gdy czerwony samochód Kary przejechał pędem obok jego ciężarówki. Kara nawet nie spojrzała w jego stronę.

- Ciekawe, gdzie się tak spieszy - zastanawiał się siedzący na drabinie Matt.

John patrzył z bólem serca za znikającym samochodem.

- Pewnie wraca do Oklahomy.

- Niedługo tu zabawiała, co?

John pochylił się, żeby pozbierać porozrzucane narzędzia. Zepsuł wszystko. Jeśli Kara odjechała na zawsze, stracił szansę, żeby spłacić dawne długi.

Bezmyślnie kopnął kawałek kolczastego drutu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy Kara wróciła z Oklahomy, bolała ją szyja i czoło nad prawym okiem. Ranczo pogrążone było w ciemności.

Lane zażył lekarstwa przepisane przez pediatrę i spał na tylnym siedzeniu samochodu. Kara spojrzała na niego i westchnęła ze zmęczenia. Biedny mały miał całe ciało w krostach. Najbliższe dni nie będą dla niego łatwe.

Nie zadając sobie trudu, żeby zamknąć samochód, poniosła śpiące dziecko w kierunku domu. Na podwórku było ciemno, ale знаła drogę na pamięć. Świerszcze cykały, a z kryjówki w zarośniętej grządce kwiatów wyskoczył królik.

Kiedy weszła na schody, światło na ganku zapaliło się. Ze zdziwieniem uniosła do góry głowę.

W otwartych drzwiach stał John. Wydawało się, że patrzy z ulgą. Gdy się odezwał, jego głos był cichy i pogodny, jakby widok jej i dziecka wcale go nie zdziwił.

- Przywiozłaś Lane'a?

Natychmiast stała się czujna. Nigdy nie myślała, że Murdock będzie stał parę kroków od jej dziecka - jego dziecka - i ogarnął ją strach. Przytuliła do siebie śpiącego synka i powiedziała:

- Lane jest chory.

Otworzył szeroko drzwi i wyciągnął rękę.

- On jest ciężki. Pozwól, że go wezmę.

- Nie - prawie krzyknęła, odchylając się do tyłu tak gwałtownie, że chłopiec poruszył się i wymamrotał coś przez sen.

John spojrzał zaskoczony, więc spróbowała się opanować.

- Mógłby się przestraszyć, że ktoś obcy trzyma go na rękę.

- No tak. - John opuścił rękę i cofnął się. - W którym pokoju chcesz go położyć?

Odetchnęła z ulgą. Im szybciej położy syna do łóżka, tym lepiej.

- Oczywiście w moim. Tak będzie najwygodniej.

John ruszył przodem, a Kara za nim. Już wkrótce tego pożałowała, bo zamiast martwić się o dziecko, zaczęła podziwiać zgrabną sylwetkę kowboja. Czarny podkoszulek podkreślał szerokie ramiona. John chyba właśnie wyszedł spod prysznic, bo czuła zapach mydła. Do diabła, dlaczego on zawsze musiał tak ładnie pachnieć?

Szarmancko otworzył przed nią drzwi do sypialni, podszedł do łóżka i odchylił kołdrę. Gdyby nie zmęczenie, znienawidziłaby go jeszcze bardziej za to, że odgrywa rolę gospodarza w jej własnym domu. Położyła ubranego w piżamę Lane'a na prześcieradle i przykryła go kołdrą.

- Co mu jest? - spytał cicho John, spoglądając na chłopca.

- Ma wietrzną ospę.

John zeszywniał i zrobił krok w tył.

- Wietrzną ospę?

- Tak. - Zauważyła jego niepokój. Zupełnie zbladł. - Czy coś się stało?

- Och, nie. - Cofnął się do drzwi i ujął klamkę, nie spuszczając wzroku z dziecka. - Nic.

- To dlaczego zachowujesz się tak dziwnie?

- Nie jestem pewien, czy chorowałem na wietrzną ospę.

- Nie jesteś pewien? - Przytknęła dłoń do ust, próbując opanować śmiech.

Na ten dźwięk Lane poruszył się, mrużąc coś przez sen. Spojrzeli na niego z niepokojem i wyszli na palcach z pokoju. Kara zapaliła jeszcze światło, na wypadek gdyby mały się obudził.

- To wspaniałe - powiedziała. - Wielki kowboj z wysypką na twarzy.

Nic nie sprawiłoby jej większej przyjemności niż widok jego poznaczonej krostami twarzy. John wcale nie był ubawiony.

- Czy dzieci nie szczepi się przeciwko chorobom zakaźnym?

- Lekarz powiedział, że szczepienia są nieskuteczne. Wirusy murują... - Po-

cierając obolałą szyję, zapaliła światło w kuchni. Była zadowolona, że John tak się przejął ospą. - Napijesz się kakao?

Powinna była ugryźć się w język. Nie miała pojęcia, czemu jest dla niego taka miła. Może dlatego, że cieszyła się z powrotu do rodzinnego domu.

John skinął z roztargnieniem głową.

- Chyba powinienem porozmawiać z matką. Ona będzie pamiętała, na co chorowałem w dzieciństwie.

Otwierając szafkę, zerknęła na niego i zachichotała złośliwie. John także się uśmiechnął. Wzruszył ramionami i sięgnął ponad jej głową po kubki.

Bała się, żeby jej nie dotknął, i odsunęła się, ale było już za późno. Jego silne ciało przycisnęło ją do blatu. Gdy dotknął biodrem jej brzucha, poczuła przyływ pożądania. Nie miała jak uciec, więc zastygła w bezruchu. Dlaczego on się wreszcie nie odsunie?

- Myślałem, że już nie wrócisz - wyszeptał chrapliwym głosem.

- Chciałbyś.

Zamilkł na chwilę.

- Prawdę mówiąc, nie.

Tego nie spodziewała się usłyszeć. Był tak blisko, że zrobiło się jej gorąco. Ledwie mogła oddychać, a John nie miał zamiaru się poruszyć.

- Nie staraj się być miły, Murdock. I tak nie zmienię swego zdania na twój temat. - Starła się być zادیorna, ale jej słowa zabrzmiały raczej jak prośba.

- Mógłbym powiedzieć to samo.

Co on ma na myśli? Czy też jej nienawidzi? Uniosła głowę. Jego oczy błyszczały, ale nie było w nich nienawiści.

Przełknęła ślinę. Przecież ona gardzi tym mężczyzną. Czy jest tak tępy, że tego nie dostrzega?

John postawił kubki za jej plecami na blacie i pochylił się do przodu. Miała ochotę krzyknąć: Nie dotykaj mnie... ale nawet nie otworzyła ust. Gdy musnął jej

ramiona, zadrżała, przeklinając w duchu własną słabość. Jak może tak stać i pozwalać mu się dotykać? Po tych wszystkich cierpieniach, jakich jej przysporzył?

- Kara - szepnął cicho, wpatrując się w nią oczami jak węgle. Zaczął masować rękami jej obolały kark. - Tutaj?

- Mhm. - Bezbłędnie znalazł miejsce, które ją bolało. Zresztą nigdzie indziej nie pozwoliłaby się dotknąć. Powinna mu powiedzieć, żeby dał jej spokój, ale jego silne ręce sprawiły, że poczuła niewysłowioną ulgę. Nikt od tak dawna nie robił jej masażu.

Josh interesował się tylko własnymi problemami i potrzebami. Ona go zupełnie nie obchodziła. Nie do wiary, ale John, który nigdy nie był jej mężem, instynktownie wyczuwał jej pragnienia.

Zamknęła oczy i pochyliła głowę, poddając się z rozkoszą uciskowi jego palców. W starym domu panowała cisza, w której słyhać było tylko szum lodówki i od czasu do czasu kliknięcie cyfrowego zegara przy kuchence. Wszystko wydawało się cudownie znajome i bliskie. I ten mężczyzna, i to miejsce.

Poczuła napięcie, które nie miało nic wspólnego z bólem w karku. Już tak długo była sama, że przez chwilę zastanawiała się, czy mu nie wybaczyć i nie poddać się pragnieniu.

Ale zanim zdążyła zrobić coś głupiego, usłyszała przerażony krzyk, który natychmiast przywrócił ją do rzeczywistości.

- Mamo! Mamo!

To jej dziecko. Zatrzęsła się ze strachu i wyskoczyła na korytarz. Wreszcie znalazła powód, by nigdy nie wybaczyć Johnowi.

John stał w drzwiach, patrząc, jak Kara tuli do piersi chorego synka. Jedną rękę położyła mu na czole, kołysząc go i szepcząc mu coś do ucha. Odgarnęła jego gęste włosy ze spoconego czoła i ucałowała go w skroń.

John poczuł dziwne wzruszenie. To, że pożądał jej przed chwilą w kuchni, było dla niego zrozumiałe. Tak atrakcyjna kobieta jak Kara musiała budzić takie

doznania, zwłaszcza że pamiętał, jak dobrze im było razem. Ale dlaczego tak wzruszył go widok Kary i tego chłopca?

Pewnie dlatego, że czuł się winny. To ranczo należało do nich, a nie do niego. Niech diabli porwą Pete'a, który wpakował go w takie tarapaty.

- Gorąco mi, mamó - poskarżył się chłopiec.

- Wiem, kochanie - odpowiedziała łagodnie Kara, spoglądając na zegarek. -

Zaraz podam ci lekarstwo i wytrę cię mokrym ręcznikiem. To na pewno ci pomoże.

Położyła go z powrotem na poduszki i odgarnęła do tyłu jego włosy.

- Chcesz jeść?

Lane oblizał spierzchnięte wargi.

- Pić.

- Dobrze. Czego się napijesz? Może soku?

John zrobił krok do przodu.

- W lodówce jest sok i mleko.

Kara ze zdziwieniem odwróciła do niego głowę. Nawet nie wiedziała, że tu za nią przyszedł. Lekki rumieniec wystąpił jej na policzki.

- Oranżady, mamó - poprosił chłopiec. Błyszczącymi oczami zerknął na mężczyznę, po czym znów utkwiał wzrok w matce.

- Przykro mi. - John rozłożył bezradnie ręce. - Nie mam oranżady. - Był szczerze zmartwiony.

- Przywiozłam oranżadę i różne inne rzeczy, ale są jeszcze w samochodzie. - Kara poklepała synka po policzku i zaczęła wstawać.

John domyślił się, że zamierza pójść po bagaże. Powstrzymał ją ruchem ręki.

- Zajmij się Lane'em. Przyniosę wszystko z samochodu.

Szybko wyszedł na dwór, nie przestając myśleć o Karze i jej dziecku. Domyślał się, że jest dobrą matką. Ale nie przypuszczał, że tak wzruszy go w tej roli. Wiedział, że nie jest mu obojętna; to był także powód, dla którego zgodził się na ten dziwny układ z Pete'em. To dziecko powinno być jego. To dziwne, że tak de-

speracko jej pożądał, mimo że urodziła syna innemu mężczyźnie. Nie mógł jej tego wybaczyć, jednak nadal jej pragnął.

Otworzył drzwi samochodu i wsunął się do środka, uderzając głową w niski sufit.

Jak można jeździć takim małym samochodem! On najbardziej lubił ciężarówki.

Potaął guza i nagle zastygł w bezruchu. W ciemności poczuł zapach perfum Kary i ugięły się pod nim kolana. Osunął się na przednie siedzenie. Głowa opadła mu do tyłu.

- Ach, Kara, Kara. - Dlaczego miała nad nim taką moc? Po dwóch dniach spędzonych w jej towarzystwie znów stracił głowę jak zakochany nastolatek.

Jego oczy powędrowały na tylne siedzenie, gdzie niebieski wymiętoszony piesek patrzył na niego jednym okiem. Dlaczego Lane wyzwał w nim pokłady czułości i opiekuńczości? Biedny mały, porzucony przez własnego ojca. John wiedział, jaki to może sprawić ból. Syn Kary zasługiwał na lepszy los.

Sięgnął po torby leżące na tylnym siedzeniu. Wziął też kłapouchego pieska. Zatrzasnął drzwi biodrem i ruszył słabo oświetloną ścieżką.

Gdyby oddał Karze ranczo, musiałyby znów zniknąć z jej życia. Kto wie, czy nie przejechałaby go tym swoim śmiesznym małym samochodem. Martwy kowboj to jeden kłopot mniej. Ale jeśli Kara nie dostanie rancza, to pewnie wróci do Oklahomy. Nie chciał, żeby tak się stało.

Teraz, gdy się przekonał, jak bardzo jest przywiązana do Lane'a, znalazł sposób, by ją zatrzymać. Na pewno do niczego jej nie zmusi, ale jeśli rozegra sprawę sprytnie, to wszyscy będą zadowoleni. Uśmiechnął się na tę myśl. Dla niego życie było grą, no i miał asa w rękawie.

Kopnął drzwi, przytrzymał je butem i wślizgnął się do środka.

W kuchni wyjął wszystko z papierowej torby. Gdy otworzył butelkę z oranżadą, zauważył na blacie dwa puste kubki. Nadal stały tam, gdzie je postawił. Przez

Karę zapominał o bożym świecie. Nalał wody do kubków i wstawił je do mikrofalówki, a potem wyjął z szafki puszkę kakao. Chyba jeszcze zdążą je dzisiaj wypić.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wzdychając ze zmęczenia, Kara pokręciła bolącą szyją i poszła do łazienki. Aspiryna. Musi wziąć aspirynę.

- Czy Lane zasnął?

Zamrugała ze zdziwienia. John stał w półmroku na końcu korytarza, trzymając w rękach dwa kubki. W powietrzu unosił się zapach gorącego kakao.

- Myślałam, że się położyłeś.

- Nie. - Pokręcił głową. - Usiądź i napij się. Jesteś wyczerpana.

Sama myśl, że w środku nocy ma pić kakao z Johnem Murdockiem, wydała jej się zarazem obrzydliwa i kusząca, ale teraz Kara była zbyt wycieńczona, żeby wdawać się w takie filozoficzne rozważania.

- Najpierw muszę wziąć aspirynę.

John zerknął do kieszeni swojego podkoszulka.

- Mam przy sobie. Chodź.

Nie czekając na odpowiedź, obrócił się i ruszył w stronę drzwi frontowych. Nie miała pojęcia, dlaczego idzie za nim. Z pewnością to nie było mądre, ale ciekawiło ją, co John knuje.

Stare drzwi wejściowe zaskrzypiały przy otwieraniu. Lampa w pokoju rzucała błądy prostokąt światła na ganek, więc nie trzeba było zapalać innego światła. John usiadł na górnym schodku, robiąc miejsce dla Kary.

Po chwili wahania, gdy zmierzyła wzrokiem mającą dzielić ich odległość, poddała się. Z tego miejsca na pewno usłyszy wołanie Lane'a.

Podciągając nogi pod brodę, wzięła kubek, postawiła go na kolanach, a po chwili łapczywie upiła łyk gorącego płynu.

- Dziękuję. To było mi potrzebne.

- Czy wiesz, że to są pierwsze miłe słowa, jakie usłyszałem od ciebie od chwili przyjazdu?

W jego głosie brzmiała radość.

- Wolałbyś, żebym krzyczała i oblała cię tym kakao?

- To nie byłaby żadna niespodzianka.

Zaśmiała się.

- Gdzie jest ta aspiryna?

Podał proszek, wpatrując się w nią uważnie. Widok jego twarzy speszył ją. Patrzył tak, jakby chciał ją o coś spytać, a ona wcale nie miała ochoty odpowiadać. Odsunęła się i łykiem kakao popiła aspirynę.

Ciepłe powietrze pulsowało od rechotu żab. John przesunął się w bok i oparł jeden but o schodek, a drugą nogę położył na trawie.

- Pamiętasz, jak siadywaliśmy w takie noce na dworze i rozmawialiśmy? Było cudownie.

- Tak. - Cudowne były też inne rzeczy, choć żadne z nich nie powiedziało tego głośno. - Pamiętam. - Musiała wyrwać się z tego zauroczenia, póki nie jest za późno. - Ale co było, już nie wróci.

Obracając kubek w dłoniach, spytał:

- Tak myślisz?

Kara nie odpowiedziała. Jak miała mu powiedzieć, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. To byłoby zbyt bolesne. John wskazał kubkiem ciemność.

- Świetliki chyba dziś oszalały.

- Tak. - Odprężyła się i położyła nogi na schodach, obserwując, jak malutkie owady krążą w godowym tańcu. Żeby zmniejszyć ból szyi, wyciągnęła z włosów gumkę i pochyliła się do przodu, masując napięte mięśnie. Przypomniało jej się, jak John robił jej masaż w kuchni.

Gwałtownie odrzuciła do tyłu głowę i opuściła ręce. Włosy rozsypały się jej

na ramiona.

Pomyślał, że wygląda bardzo seksownie z burzą włosów i powiekami opadającymi ze zmęczenia. Znow miała na sobie podkoszulek z kowbojką. Napił się kaka, nie przestając myśleć o krągłościach, którymi natura obdarzyła Karę.

Rozmawiali o różnych drobiazgach, o sklepie, który Kara prowadziła w Oklahomie, o chorym kolanie Pete'a i o udziale Johna w Krajowych Mistrzostwach Rodeo.

- Jak się czuje mama? - spytała Kara. Bardzo lubiła tę przemiłą kobietę.

- Dobrze. - Uśmiechnął się, a wokół jego oczu utworzyły się zmarszczki. -

Wciąż potrafi wyczarować piękne fryzury na głowach swoich klientek.

- Czy Holly jeszcze sprzedaje samochody w Dallas?

- Ma teraz własny sklep. Właśnie tam kupiłem swoją ciężarówkę.

- Założę się, że nie dostałaś zniżki - powiedziała z rozbawieniem Kara, przypominając sobie ciemnowłosą młodszą siostrę Johna, która zawsze marzyła o odniesieniu sukcesu zawodowego i uparcie zmierzała do celu.

John zaśmiał się.

- Trochę opuściła, bo opiekowałem się jej córkami, gdy pojechała z Darrinem do Vegas.

John Murdock jako opiekun do dzieci. To przerastało wyobraźnię Kary. Oczywiście nigdy nie wyobrażała sobie także, że będzie siedziała z nim na ganku, prowadząc uprzejmą rozmowę. Stawiając kubek na chłodnym betonie, rozsznurowała tenisówki i zdjęła je, wyciągając nogi.

- Tatuś powiedział, że Jolene ponownie wyszła za mąż.

John czubkiem buta kopał trawę. Nagle zmarkotniał.

- Miała już trzech mężów łajdaków i znowu wyszła za takiego, który podle ją traktuje. I znowu zaszła w ciążę.

Kara potrząsnęła ze smutkiem głową. Było jej przykro, że śliczna starsza siostra Johna wciąż wybierała niewłaściwych mężczyzn.

- To niesamowite, że niektóre kobiety w kółko popełniają te same błędy. -
Bosymi stopami potarła wilgotną trawę. - Ja już zmądrzałam.

- Nie wierzysz w drugą szansę?

- Nie. - Nie miała odwagi się przyznać, że Josh był jej drugą szansą. Dwa nieudane związki... dwa razy uwierzyła w męskie obietnice i już wiedziała, że nie może ufać sobie samej. Przyciągnęła nogi do siebie. Żdźbła trawy przyczepiły się do jej palców. - Mam syna. On jest dla mnie najważniejszy. Nie potrzebuję nikogo innego.

Czuła, że z jej słów bije gorycz.

John odwrócił się do niej i spojrzał z uwagą.

- Wiem, że Josh Riddley cię skrzywdził. Co między wami zaszło?

Przycisnęła nogi do brzucha i objęła kolana ramionami.

- To moja wina. Nie powinnam była mu zaufać.

Nie wiedziała, czemu mu się zwierza. Czy to z powodu choroby Lane'a, czy własnego wyczerpania, czy dlatego, że kiedyś rozumiał ją jak nikt, ale musiała mówić. W tej chwili towarzystwo mężczyzny, nawet takiego jak John Murdock, było dla niej wsparciem, którego jej tak długo brakowało. Zresztą czym tu się przejmować? Jedno z nich wkrótce wyjedzie i wszystko wróci do normy.

- Nadal coś do niego czujesz, prawda?

Och, tak. Josh Riddley na pewno nie był jej obojętny. Czuła do niego żal. Miała wobec niego poczucie winy i bała się go.

- Są rzeczy, o których nie da się zapomnieć, choć bardzo by się chciało.

- Ale rozwiodłaś się już dawno?

- Niezupełnie. Choć Josh wyprowadził się, kiedy Lane był malutki, to długo jeszcze nie miałam pieniędzy, by formalnie przeprowadzić rozwód. - A Josh nie dawał jej spokoju przez cały czas, żądając pieniędzy i wygrażając.

John wyciągnął się w pozycji pólężącej, podczas gdy Kara siedziała skulona, nadal ściskając rękami kolana. Przekręcił się na bok i złapał ją za stopę, lekko po-

trząsając, aż zwolniła uścisk.

- Przepraszam. To nie jest dobry temat do rozmowy.

- Nie szkodzi. - Ale przeciągnęła się i wstała. Chciała odsunąć się od niego.

Wszystkie dyskusje o Joshu napawały ją lękiem i przypominały, dlaczego już nigdy nie powinna się zakochać. - Pójdę zobaczyć, czy Lane śpi. Dziękuję za kakao.

John został na ganku, otoczony tańczącymi świetlikami, ale Kara czuła, że śledzi ją spojrzeniem. Gdy weszła do pokoju dziecka, po raz kolejny zadała sobie to samo pytanie. Co właściwie knuje John Murdock?

Kara przełożyła koński ogon przez otwór w różowej czapce z daszkiem i przejrzała się w lustrze. Po nocnym czuwaniu nad Lane'em to cud, że w ogóle się podniosła. Spał przez kilka godzin, a ona wpatrywała się w sufit, rozmyślając o Murdocku. Był zbyt miły, nie ufała mu za grosz. O świcie, kiedy zaróżowiło się niebo i zapiał kogut, zrozumiała wreszcie, do czego zmierzał. Udawał przyjaciela nie dlatego, że żałował chorego dziecka. I nie dlatego, że było mu głupio z powodu historii z ranczera Nawet nie dlatego, że zostawił ją sześć lat temu. Och, nie. Murdock, ten diabeł, próbował ją przechytrzyć. Robi jej kakao, przynosi bagaże i jest czarujący po to, żeby osłabiła czujność. Będzie się przymilał, aż Kara się podda i wróci na zawsze do Oklahomy.

Rzut oka na śpiącego synka wystarczył jej, żeby nabrać sił na spotkanie z Murdockiem. Z głową podniesioną do góry wyszła z pokoju.

- To ranczo należy do ciebie, Lane - szepnęła - i odzyskam je, nawet jeśli będę musiała sprzedać duszę diabłu.

Zbliżając się do kuchni, poczuła zapach smażonego bekonu. Zwolniła kroku. Diabeł czyhał na nią. Murdock był jeszcze w domu. Gotował. Serce załopotало jej w piersi. Czy on nie miał nic do roboty na ranczu?

Wyprostowała się i weszła do środka. John stał przy kuchence, obok dzbanka z kawą. Pewnie uważał wczorajszy wieczór za zwycięstwo, ale to było tylko zawieszenie broni spowodowane wyczerpaniem. Tego ranka była znowu sobą. I nie

da się wykiwać.

- Dzień dobry, Karo. - Uśmiechnął się do niej, przewracając bekon na patelni.

Do diabła! Wyglądał tak przystojnie, boso, z wilgotnymi brązowoczarnymi włosami kręcącymi się wokół uszu, w błękitnej koszuli rozpiętej na naprężonym, brązowym brzuchu, podczas gdy ona czuła się jak z krzyża zdjęta.

- Mam nadzieję, że sparzysz się w brzuch.

John poklepał się po naprężonych mięśniach.

- Pocałujesz mnie wtedy, żeby mniej bolało?

- Możesz sobie pomarzyć, kowboju. - Odwracając się, wyjęła kubek z szafki i naląła parującej kawy z dzbanka.

- Przecież tylko pytam.

- Daj mi spokój, Murdock. Miałam ciężką noc.

Odłożył widelec i przyjrzał się jej czerwonym oczom i bladej twarzy. Spoważniał.

- Jak się czuje mały?

Jego troska rozczuliła ją.

- Teraz na szczęście śpi. Ale przez całą noc musiałam do niego wstawać.

- Wiem. - Sięgnął do szafki po talerz. - Słyszałem.

Wsypała dwie łyżeczki cukru do kubka i zamieszała.

- Nie mów, że nie mogłeś zasnąć przez całą noc ze strachu, że rozchorujesz się na ospę.

- Co? - Zmarszczył czoło, kładąc chrupiący bekon na talerzu. - Ach, tak - przypomniał sobie. - Rozmawiałem z mamą.

- I co?

- Nie chorowałem na ospę.

Kara uśmiechnęła się.

- To najlepsza wiadomość od trzech dni.

Udał obrażonego, ale zaraz się rozchmurzył.

- Spójrzmy na to z innego punktu widzenia. Jeśli zachoruję, będziesz musiała się mną opiekować.

- Jeśli zachorujesz, to się wykończysz.

- Od ospy się nie umiera.

- A szkoda.

Wyciągnął z lodówki miskę wiejskich jajek.

- Zjesz sadzone czy jajecznicę?

- Nie jestem głodna. - Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było zjedzenie z nim śniadania. Poprzedniej nocy zbyt się do siebie zbliżyli i wciąż czuła się z tego powodu zakłopotana.

- A zatem jajecznicę - zdecydował za nią i rozbił jajka o brzeg miski. - I zrobię coś smacznego dla Lane'a. Chore dziecko powinno zjeść porządne śniadanie.

- Porządne śniadanie to dla Lane'a dwa truskawkowe ciastka. Wątpię, żeby dzisiaj miał na cokolwiek ochotę.

Spojrzał na nią, ubijając jajka, i wyciągnął w jej stronę widelec.

- Dziś rano zje jajka na bekonie.

Westchnęła z rezygnacją. Będzie musiał sam się przekonać, jak trudno jest zmusić do jedzenia chorego pięciolatka.

- Mam zrobić grzanki? - spytała.

Wskazał brodą na piekarnik.

- Piekę biszkopty.

- Kiedy nauczyłeś się robić biszkopty? - Patrzyła z niedowierzaniem.

- To nie jest takie trudne - odparł z uśmiechem.

Gdyby nie przysięgła sobie, że będzie go nienawidzić do końca życia, odwzajemniłaby ten uśmiech. Ale przecież znała jego zamiary. Dziś rano był naprawdę uroczy. Jeśli tylko pozwoliłaby mu na to, umizgiwałby się do niej, błyskając gołym brzuchem, póki by jej nie zdobył... Nawet nie chciała o tym myśleć. Wyjęła z lodówki sok. John posypywał jajecznicę serem.

- Ale z ciebie świetny kucharz!

Zerknął na nią przez ramię.

- Tak?

Kara nakryła do stołu. John postawił na stole bekon i jajecznice. Kiedy wymijali się w ciasnej kuchni, klatką piersiową otarł się o jej plecy. Żołądek jej się ścisnął i osunęła się na krzesło. Jak najszybciej musi się go pozbyć.

Zdecydowana niezwłocznie spełnić swoje postanowienie, wbiła widelec w jajecznice.

- Kiedy stąd wyjeżdżasz? - spytała z fałszywą słodyczą.

John polał jajka ostrym sosem.

- Miałem cię spytać o to samo.

Uniosła do góry brodę.

- Wtedy, kiedy przepiszesz ranczo na mojego ojca.

Odstawił z hałasem sos i wyszczerzył zęby.

- W takim razie sytuacja jest patowa.

Nie pójdzie z nim łatwo. Jedli w milczeniu i Kara zastanawiała się, jaką obrać taktykę.

- Może dałbyś się przekonać? - Od razu pożałowała swoich słów.

- No cóż. - Na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiezek. - Wygrałem ranczo w pokera. Może... - Pstryknął palcami. - Wiem. - Jego wzrok powędrował na nią, parząc jak rozpalone żelazo. - Możemy zagrać w rozbieranego pokera. Ten, kto wygra, bierze ranczo.

Kawałek biszkopta utkwiał jej w gardle. Dopiero za drugim razem udało jej się go przełknąć. John Murdock był wystarczająco kuszący w ubraniu. Na myśl o jego opalonym, wysportowanym nagim ciele przeniknął ją dreszcz. Przypomniała sobie, jak dawnymi czasy leżeli obok siebie rozpaleni i zaspokojeni. Seks zawsze sprawiał im ogromną przyjemność.

- Znów marzysz, kowboju.

- W takim razie - powiedział, przesuując talerz w bok - mam dla ciebie inną propozycję. - Odsunął do tyłu krzesło, założył nogę na nogę. Nagle stał się podejrzanie poważny. Z wesołym, seksownym Murdockiem jakoś sobie radziła. Gdy był poważny, zaczynała się go bać.

- Nie zgadzam się na żadne rozbierania.

Podniósł do góry rękę.

- Wysłuchaj mnie. To może ci się spodobać. - Uśmiechał się zachęcająco, ale czuła, że jest spięty. Wreszcie dowie się, co on knuje.

Parsknęła śmiechem i odrzuciła do tyłu głowę. Była gotowa do walki. Nic, co wymyśli John Murdock, już jej nie zaskoczy.

- A gdybym powiedział, że chcę, żeby twój syn został moim spadkobiercą?

Przejęta nagłym strachem, że John odkrył jej sekret, chwyciła szklanekę i wypła haust soku, starając się opanować wzburzenie. Z marnym skutkiem.

- Co ty mówisz?

- Długo nad tym myślałem. Lane jest wnuczkiem Pete'a. Powinien odziedziczyć to ranczo.

- Możesz przepisać je na mnie.

- Chwileczkę. Jeszcze nie skończyłem. - Siedział w niedbałej pozie, ale jego spojrzenie było czujne. - Zamieszkaaj tu na stałe z Lane'em. Muszę zobaczyć, czy chłopak nadaje się do prowadzenia rancza.

- On ma dopiero pięć lat.

- Takie rzeczy ma się we krwi.

Znów ogarnęło ją przerażenie.

- Co to znaczy? - Jej głos zabrzmiał piskliwie.

- Nie wiem, czy wdał się w ciebie, czy w swojego ojca. Jeśli jest Taylorem z krwi i kości, na tym ranczu poczuje się jak w domu. Chcę mu dać szansę.

To było szaleństwo. Skąd przyszedł mu do głowy taki pomysł? Chyba że...

Nie, to wykluczone, żeby znał jej sekret. Zbyt pilnie go strzegła.

- Prowadzę firmę.

- Sprzedaj ją.

Zachnęła się.

- A z czego utrzymam mojego syna?

- Wysłuchaj mojej propozycji do końca.

Odchylił się do tyłu. W oczach miał coś niepokojącego. Instynkt kazał Karze mieć się na baczności.

John już się nie uśmiechał. Z jego oczu biła taka szczerłość, że Kara przestraszyła się jeszcze bardziej. Wziął jej rękę w swoje długie, opalone palce i powiedział:

- Chcę, żebyś została moją współniczką, tak jak kiedyś planowaliśmy. Wyjdź za mnie.

Nie byłaby bardziej zaszokowana, gdyby jej powiedział, że ma przejechać nago ulicami miasteczka. Biskopt, który ścisnęła kurczowo w dłoni, upadł na talerz.

- Chyba nie wiesz, co mówisz, skarbie - powiedziała drżącym głosem.

Potarła wierzch dłoni. Czowała jeszcze jego dotyk i zrobiło się jej gorąco. Sześć lat temu zawiodła się na nim i nie da się oszukać po raz drugi.

John rozłożył ręce.

- Chłopiec nie powinien wychowywać się bez ojca. Jeśli odpowiada mu życie kowboja, adoptuję go i będzie moim spadkobiercą. To proste.

- Nie rozumiem. - Krew tętniła jej w uszach.

- Chcesz mieć ranczo, prawda?

Bała się, że to podstęp.

- Dlaczego miałbyś to zrobić? Nawet nie znasz Lane'a.

- Może jestem ci coś winien?

- Może? A to dopiero! Jesteś mi sporo winien.

- To prawda. - Uśmiechnął się. - Chciałbym spłacić teraz ten dług.

- To szaleństwo. - Poderwała się i zaczęła zbierać ze stołu talerze i widelce.

Chciał się z nią ożenić i adoptować jej syna? Gdyby to nie było takie smutne, roześmiałyby się. Czy ktoś może adoptować własne dziecko?

Dawno temu wyobrażała sobie taką scenę, ale mówili wtedy o miłości, a nie o tym, co kto jest komu winien. To, że John właściwie oceniał swoje postępowanie w przeszłości, było jakimś pocieszeniem, ale czyż można mówić o małżeństwie, gdy brakuje miłości i zaufania?

Zebrała brudne naczynia i zaniósła je do kuchni. John nadal siedział na krześle, patrząc na nią z taką ufnością, że ugięły się pod nią kolana.

- To jedyne wyjście, Karo. Zatrzymam to ranczo i rozbuduję je, a potem przekażę je Lane'owi. Albo będzie należało tylko do mnie, a ty i Lane nie dostaniecie nic.

- Jestem pewna, że coś się za tym kryje. - Gorączkowo starała się rozwikłać zagadkę.

- Tak. Przyznaję, że chciałbym udowodnić tym, którzy wieszali na mnie psy, że nie mieli racji.

Drżącą ręką oparła się o blat. John chciał ożenić się z nią i uczynić Lane'a spadkobiercą, żeby ratować dobre imię Murdocków? Nie do wiary!

- A jeśli zmienisz zdanie i wyjedziesz? - Nie wyobrażała sobie, by John potrafił się ustatkować i prowadzić spokojne życie.

Wzruszył ramionami.

- Dam ci rozwód, ale ranczo i tak otrzyma Lane.

Czegoś nie mogła tu zrozumieć. Od chwili przyjazdu nie potrafiła trzeźwo myśleć. John manipulował nią. Ten diabeł w kowbojskich butach wiedział, że Kara nie ma szans z nim wygrać. Wspaniałomyślnie proponował jej ten układ, bo był pewien, że ona nie zgodzi się na taki szalony pomysł. Spodziewał się, że odmówi i wróci do miasta z chorym dzieckiem, a on zostanie na ranczu i z czystym sumie-

niem będzie czerpał zyski z krwawicy jej ojca. Będzie mógł powiedzieć wszystkim, że zaproponował jej małżeństwo, ale ona się nie zgodziła.

Żmija. Otarła spocone ręce o dzinsy. Podły oszust. Liczył na jej odmowę. Ona też kiedyś grała w pokera i umiała rozpoznać blef.

Staną przy barze, wzięła się pod boki i uniosła do góry brodę.

- Murdock. - Słowa ledwo przechodziły jej przez gardło. - To jest ranczo mojej rodziny. I jeśli ślub, wszystko jedno z kim, pozwoli mi je odzyskać, to zgadzam się. Będę twoją żoną.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wchodząc do stodoły, Kara usłyszała, że John cicho z kimś rozmawia. Siano szeleściło i jakieś postacie poruszały się za ścianą.

- Chodź, skarbie. No tak. Wiem, czego ci potrzeba.

Karze zaschło w ustach. Cały dzień paradował przed nią, prężąc wysportowane, twarde jak skała ciało. Specjalnie stawał blisko niej albo chodził po domu bez koszuli. Ciągłe śniło jej się, że się kochają, a potem John odjeżdża czerwoną ciężarówką. A teraz jeszcze musi słuchać, jak on uwodzi jakąś kobietę w jej własnej stodole.

Kilka dni temu zaproponował jej małżeństwo z rozsądku i zgodziła się wyjść za niego, gdy Lane wyzdrowieje, bo chciała odzyskać dom. Ale nawet małżeństwo z rozsądku powinno opierać się na wzajemnym szacunku. Ten łajdak zapłaci jej za schadzki w stodole.

Szarpnęła drzwi i wpadła do środka przygotowana na to, że zobaczy dwa nagie ciała. Tymczasem John siedział w kucki przy nowo narodzonym cielaku, ucząc go pić z butelki, i przemawiał do niego czule.

Było jej głupio, ale odetchnęła z ulgą. Jej wyobraźnia nie próżnowała. Nagle zrobiło się jej gorąco. Dlaczego wciąż go pożądała? Czy nie dostała jeszcze nauc-

ki, że uleganie popędowi prowadzi do smutnych konsekwencji?

- To kolejne osierococone cielę. - John zmarszczył brwi, nie mając pojęcia, o czym myśli Kara. - Już cztery musimy karmić sami. Zbyt dużo matek umiera.

- Dlaczego tak się dzieje? - Z wielkim wysiłkiem zmusiła się, by oderwać wzrok od opalonego brzucha Johna.

Od chwili przyjazdu zauważyła, że ranczo jest bardzo zaniedbane. Hodowla bydła kulała, płoty i stodoły były w opłakanym stanie, stajnie brudne, a żadne z cieląt urodzonych na wiosnę nie zostało zaszczepione.

- Niektóre krowy są za stare, by się cielić. Musimy je wybrać, potem oddzielić cielaki, oznakować je i zaszczepić. To wszystko powinno być zrobione na wiosnę. - John trzymał wielką butelkę ze smoczką i głaskał cielę drugą ręką. Cielę rytmicznie ssało, a spienione mleko wylewało mu się z kącików pyska.

- Zrobię, co tylko będę mogła.

- Jesteś pewna? - Spojrzał na nią.

Skinęła głową zniecierpliwiona, że wątpi w jej słowa. To chyba szczyt bezczelności.

- To moje ranczo. Chcę, żeby wszystko było jak należy.

- W takim razie - jego błyszczące oczy przesunęły się po jej świeżo upranych dżinsach, białej bluzce i czystych butach - bierz łopatę. Dzisiaj wyrzucamy gnój ze stodoły.

Kiedy śmiał się z zaskoczony miny Kary, osierococone cielę pociągnęło potężny haust z butelki, a potem uderzyło Johna łbem w brzuch. Przewrócił się na plecy. Jego kapelusz wylądował w stercie gnoju.

Kara wybuchnęła śmiechem. To cielę było fantastyczne.

Kilka godzin później, kiedy pot i kurz pokrywały ich od stóp do głów, Kara wreszcie wrzuciła ostatnią łopatę nieczystości na taczkę.

- Dobrze nam idzie, co? - John oparł łopatę o ścianę.

Gdyby miała odpowiedzieć uczciwie, musiałaby przyznać mu rację.

Tata i Sally pilnowali chorego Lane'a, więc mogła spokojnie pomagać Johnowi. Rano pracowało im się świetnie. John sypał dowcipami, a ona śmiała się i odpłacała pięknym za nadobne.

W pewnym momencie zbliżył się i strzepnął źdźbło słomy z jej ramienia. Zrobiło się jej gorąco.

- Zobacz, co po tobie chodzi. - Wskazał palcem na jej bluzkę. Zielona gąsienica właśnie wspinała się na pierś Kary. - Zdejmę ją.

Zanim zdążyła otworzyć usta, ściągnął skórzaną rękawicę i sięgnął po gąsienicę.

Kara pisnęła i odskoczyła, strzepując gąsienicę, która wylądowała na ziemi.

- Zrobiłbym to o wiele delikatniej - powiedział, unosząc brwi.

- Ty zawsze jesteś najlepszy, Murdock - odparła z sarkazmem i prychnęła.

- Wiedziałem, że to zauważysz i docenisz. - Wyciągnął rękę i strzepnął z jej spodni kurz. Po prostu nie mógł się powstrzymać. Droczenie się z nią było takie przyjemne. Zrobił unik, gdy chwyciła za łopatę i zamierzyła się na niego, udając, że jest zła. Naprawdę dobrze im się pracowało, choć ona nie chciała tego przyznać. Na razie.

- Ręce przy sobie, Murdock. - Zamierzyła się na niego jeszcze raz.

- Nie będzie igraszek na sianie? Żadnej próby przed weselem? - Już nie mógł się doczekać.

Śmiejąc się z jej rozgniewanej miny, wziął taczkę i ruszył naprzód. Kara poszła za nim, z łopatami w ręku.

- Chyba ktoś nadjeżdża. - Tuman kurzu uniósł się za pocztową ciężarówką przejeżdżającą właśnie obok ich domu. John spoważniał. Wiedział, co za chwilę będzie. - Trzeba odebrać pocztę.

- Tata to zrobi.

- Nie. Chodźmy.

Kara ze zdziwieniem oparła łopatę o ścianę stodoły.

- O co chodzi, Murdock?

- Nie bój się. Chodź. - Chwycił ją za rękę i pociągnął w kierunku brązowej ciężarówki. Przez chwilę myślał, że mu się wyrwie, ale odetchnął z ulgą, gdy posłusznie podreptała za nim. Poszli w stronę domu.

Gdy pokwitował odbiór paczki, Kara przyjrzała się adresowi na opakowaniu.

- To z mojego sklepu.

- Otwórz ją. - Był bardziej zdenerwowany niż przed pierwszym występem na rodeo.

- Nie. Ty ją otwórz. - Ku jego przerażeniu oddała mu paczkę. Na jej twarzy widać było niepokój. - Wydaje mi się, że wiesz, co jest w środku.

Delikatnie pociągnął ją na ganek i położył jej na kolanach paczkę.

- Otwórz to, proszę.

Wpychając do tylnej kieszeni rękawice, przyklęknął na kolanie, czekając.

Ciekawość zwyciężyła. Rozpakowała paczkę i uniosła pokrywę. Serce dudniło mu w piersi.

Odwinęła bibułkę, westchnęła i spojrzała na niego ze zdziwieniem. Zbladła. Z zachwytem uniosła do góry koronkową suknię ślubną.

- To twoja sprawka? - Głos jej drżał.

- Podoba ci się?

Drżącymi palcami włożyła sukienkę do pudełka.

- Odeślij ją.

Serce podskoczyło mu do gardła.

- Przecież bierzemy ślub - powiedział cicho. - Chcę, żebyś miała piękną suknię.

- Dlaczego to zrobiłeś? - Jej oczy podejrzenie błyszczały.

Do diabła, chyba się nie rozplacze?

Był zmieszany. Oczekiwał, że zareaguje gwałtownie, ale nie przypuszczał, że będzie przerażona. Nie mógł się powstrzymać i pogładził ją po policzku.

- To nasze wesele, kochanie. Chcę, żeby było piękne.

Kara odskoczyła od niego jak oparzona.

- Co ty sobie wyobrażasz?! To nie jest prawdziwe wesele. To układ. Nie kochasz mnie, a ja nie kocham ciebie.

Zeskoczyła z ganku i pobiegła w stronę stodoły. John stał, trzymając w ręku koronkową suknię, tak delikatną i piękną jak rysy Kary. Podrapał się po szyi i spojrzał w niebo. A już myślał, że wszystko jakoś się ułoży.

Jeśli nie spodobała jej się sukienka, to co dopiero będzie się działo w dniu wesela?

- To szaleństwo, Murdock. - Kara kopnęła w schodek białym sznurowanym butem. Te buty John zamówił do sukienki.

Oparł się o ganek. On także wyglądał elegancko w smokingu, białej koszuli i czarnych spodniach. To równie nieodpowiedni strój na taką okazję, jak przepiękna koronkowa suknia Kary. Przecież to nie był prawdziwy ślub, tylko na niby.

- Powiedziałaś, że mam przygotować wszystko na wesele?

- Ale nie spodziewałam się czegoś takiego. - Ogarnęła ją panika. - Myślałam, że będziemy tylko my dwoje i sędzia.

Bez jej zgody i wbrew jej życzeniom John zaprosił połowę miasteczka na uroczyste kowbojskie wesele i przyjęcie ślubne. To wesele miało być takie, jak planowali dawno temu, leżąc pod usłanym gwiazdami niebem.

Co gorsza, Marietta, którą Kara uważała za sprzymierzeńca, przeszła na stronę wroga.

- Włóż tę piękną suknię! - kusiła Karę. - Co ci szkodzi?

- To John ją kupił. Nie chcę, by pomyślał, że zmieniłam zdanie.

- Na jaki temat?

- Na jego temat. - Zamachała rękami. - Wszystko przez niego. Jestem pewna, że coś knuje, tylko nie wiem co.

- A nie pomyślałaś nigdy, że może naprawdę chce się z tobą ożenić? Nie sły-

szalaś, jakim głosem zamawiał tę suknię! Widzę, jak on na ciebie patrzy. Moim zdaniem jest w tobie po uszy zakochany.

Kara zaśmiała się szyderczo.

- On kocha tylko siebie.

- A ja myślę, że zbyt pochopnie go oceniasz. Zmienił się, i to na korzyść. A poza tym jest zabójczo przystojny. - Z uśmiechem popatrzyła na Karę. - Tak przystojny, że naprawdę można się zapomnieć.

- Na pewno nigdy nie zapomnę, co mi zrobił. Nie Kocham go i nigdy nie pokocham. Za dużo przez niego przeszłam.

- Zgoda, ale to ja pomogłam mu wybrać tę sukienkę, bo wiedziałam, że ci się spodoba. Włóżysz ją dzisiaj, nawet jeśli będę musiała cię ubrać na siłę.

Kara stała ubrana w wymarzoną suknię, u boku mężczyzny, którego kiedyś kochała nad życie, zastanawiając się, czy uda jej się przetrwać ten wieczór. John był ciągle blisko niej i zaczynało ją to męczyć. Już nie była taka pewna, że zdoła się oprzeć zalotom seksownego kowboja.

- Planowaliśmy to wesele dawno temu. - Zszedł po schodkach i po raz ostatni sprawdził popręg. - Myślałem, że będziesz uradowana.

- Jestem zdenerwowana, a nie zadowolona. Planowaliśmy różne rzeczy, ale ty podeptałeś nasze wspólne marzenia. Ciekawa jestem, dlaczego tak nagle postanowiłeś zmienić swoje życie?

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Pewnie jestem sentymentalnym głupcem.

- Głupiec to dobre określenie.

John wyprostował się, otrzepał ręce i splótł palce, żeby mogła wsiąść na konia.

- Nie zrobię tego. - Kara odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi, rąbek jej sukni zafurkotał wokół butów. - Idź i powiedz wszystkim, że ślub odwołany.

- Chcesz zrezygnować z rancza? I przynieść wstyd ojcu? Przy tych wszyst-

kich ludziach?

Zatrzymała się i odwróciła. To szantaż. Jej ojciec aż podskoczył do góry z radości, kiedy dowiedział się o ich ślubie. Był tak szczęśliwy, że nie miała serca powiedzieć mu, jak jest naprawdę. Później oczywiście wyzna mu wszystko. Ale gdyby teraz wywołała skandal, przy wszystkich przyjaciółach, nigdy by jej tego nie wybaczył. A Lane straciłby swoje ranczo.

Nie mogła się wycofać choćby ze względu na dobro Lane'a.

Zrezygnowana podeszła do konia. John obserwował ją. Śledził spojrzeniem każdy jej ruch. Umiał pieścić ją wzrokiem i czuła się wtedy jak najseksowniejsza kobieta na ziemi. O Boże! Jak ona to wszystko zniesie?

Gdy zbliżyła się do niego, objął ją i patrzył w oczy tak szczerze, że nawet ła-wa przysięgłych uwierzyłaby w jego niewinność.

Był tak blisko, że przeszedł ją dreszcz. Po dwóch tygodniach przebywania z nim pod jednym dachem, coraz trudniej było jej zachować dystans. Jaka kobieta nie wzruszy się w dniu własnego ślubu?

- Wyglądasz pięknie. - Jego głos stał się nagle miękki i zmysłowy.

Czuła ciepło jego rąk przez zwiewną sukienkę.

Wyglądała jak księżniczka w długiej sukni z kremowej koronki. Ale życie to nie bajka...

Dreszcz przeszedł jej po plecach i zaschło jej w ustach. Zauroczone szczerością w jego głosie i pragnieniem w oczach, oblizwała wargi. John uznał to za zachętę. Powoli przyciągnął ją do siebie i opuścił głowę, dotykając jej czoła rondem czarnego kowbojskiego kapelusza. Zamknęła oczy, wdychając leśny zapach jego wody kolońskiej.

Ten pocałunek trwał zaledwie kilka sekund, ale przyprawił ją o zawrót głowy. Zachwycona czułością Johna, położyła głowę na jego piersi i westchnęła.

Łamał jej opór od wielu dni - swoimi żartami, uprzejmością i szarmanckimi gestami. Choć nienawidziła tej ślubnej sukni i przed przyjazdem Marietty nie

chciała jej nawet dotknąć, John od początku zachowywał się jak kochający pan młody.

Już od jutra będzie musiała mieć się przed nim na baczności. Ale nie dzisiaj. Dziś jest jej ślub. Nie należy oczywiście zapominać, że chodzi tylko o układ, ale dlaczego miałyby psuć ten dzień ponurymi rozważaniami.

John jedną ręką pogładził ją po plecach. Znowu przeniknął ją dreszcz.

- Goście czekają - przypomniał cicho.

Bała się odezwać, żeby się jej nie załamał głos. Zrobiła krok do tyłu i kiwnęła potakująco głową. Nie panowała nad swoimi uczuciami. Kiedyś w jego rękach topniała jak wosk, poddając się z rozkoszą jego pieszczotom i pocałunkom. Wcale nie chciała ponownie ulec jego urokowi.

John objął ją w pasie i posadził na siodle. Patrząc jej w oczy, zsunął rękę na jej biodro, ujął jej łydkę i włożył jej stopę w strzemię. Kara przełknęła ślinę i chwyciła wodze.

Taffy odrzuciła do tyłu przyozdobiony wstążkami łeb i ruszyła naprzód.

Gdy jechali przez pastwisko, powietrze pachniało wiosną. Motyle fruwały nad dywanem dzikich kwiatów, których słodki zapach unosił się do góry z każdym uderzeniem końskich kopyt. Taka sielankowa sceneria... Co złego może się stać? Nie, wszystko będzie dobrze.

Chłonąc widoki i zapachy, jechali w milczeniu w kierunku strumienia. Wiedziała, dokąd zmierzają. Spojrzała na swego towarzysza, a potem na tłum ludzi zebranych pod drzewami. Czy John pamiętał, jak ważne było kiedyś dla nich to miejsce? Dla nich obojga?

Na pewno tak.

Wyprostowała się w siodle i spróbowała odpędzić słodkie wspomnienia. Na pewno John specjalnie wybrał to miejsce, żeby posypać stare rany solą. To tu skradł jej serce i ograbił z niewinności.

- Czy podobają ci się wstążki?

Wyrwana z zadumy, w pierwszej chwili nie zrozumiała, o co John ją pyta. Grzywa klaczy była starannie przystrojona delikatnymi białymi kwiatami, przeplatanymi błękitną wstążką. A więc to wszystko było jego dziełem.

- Są piękne - odparła zgodnie z prawdą i zrobiło jej się błogo na duszy. Jak mogła nie poddać się nastrojowi chwili, skoro on tak dobrze grał troskliwego kochanka?

- Jest twój tata.

Pete zbliżał się do nich na swym ulubionym wałachu. Aż promieniał szczęściem.

- Jesteście gotowi? - Zawrócił konia i stanął obok Kary. Znowu poczuła zdenerwowanie.

- Oczywiście.

Pete spojrzał nieufnie na Karę, potem poklepał ją po ręce i mrugnął do niej.

- Nie denerwuj się. Dawno temu powinniście się pobrać. Miała nadzieję, że nigdy nie dowie się prawdy.

We trójkę, z Karą pośrodku, ruszyli w kierunku gości.

Nie spodziewała się, że to będzie takie straszne. Może trzeba było poszukać innego rozwiązania. A gdyby ojciec dowiedział się, czyim synem jest Lane i wydziedziczył ich oboje? Co będzie, jeśli John spodziewa się po tym małżeństwie więcej, niż ona może mu ofiarować?

Uciekłyby stąd, gdyby nie było już za późno. Zbliżyli się do stogu siana.

- Ślicznie wyglądasz, mamo.

Szept synka przypomniał jej, kto tu się naprawdę liczy. Ściskając pudełko z obrączkami, Lane uśmiechnął się do niej. Na jego słodkiej buzi widać było jeszcze ślady po chorobie. Serce Kary zadrżało. Wiedziała, że zrobi wszystko, by zapewnić swojemu dziecku godne życie.

- Ty też jesteś przystojny, kowboju - szepnęła, schylając się, by go ucałować, po czym spojrzała na pastora. Stał za stogiem siana, w rękach trzymał białą Biblię,

którą matka podarowała jej na Boże Narodzenie, gdy Kara skończyła dwanaście lat. Skąd się tu wzięła?

- Czy możemy zacząć? - Pastor zrobił krok do przodu, patrząc pytająco.

Nagle przeszył ją strach. Przecież właśnie zamierzała skoczyć w przepaść.

Marietta wcisnęła jej do rąk bukiet polnych kwiatów. Potem spojrzała na przystojnego pana młodego, uniosła perfekcyjnie wydepilowane brwi i uśmiechnęła się.

Kara westchnęła i przyjrzała się zgromadzonym gościom. Uśmiechnięci sąsiedzi, których znała od dziecka, byli wyraźnie podnieceni i zadowoleni. Jej wzrok padł na ojca. Stał z lewej strony, wyprostowany i dumny, w swoim nowym kowbojskim stroju, uśmiechając się promiennie. Wreszcie spojrzała na synka. Lane powinien wychowywać się wśród ludzi, którzy znali ich rodzinę od pokoleń. Tacy sąsiedzi zawsze pomogą mu w nieszczęściu i będą cieszyć się z jego sukcesów. Miejsce Lane'a było tutaj. Jeśli ceną miał być ślub z Johnem Murdockiem, to trudno.

Z boku dostrzegła jego siostrę Jolene w otoczeniu czwórki zaniedbanych dzieci. Jolene nie wyglądała dobrze. Jej mąż się nie pojawił. Biedactwo. Była świetnym przykładem tego, co może stać się z kobietą, która wybiera sobie niewłaściwych partnerów. Kara nie zamierzała iść tą drogą. Może poślubić Johna, ale na pewno się w nim nie zakocha.

Wzięła głęboki oddech i powiedziała pastorowi, że jest gotowa. Ceremonia się zaczęła. Stary pastor z wielką elokwencją mówił o boskich wyrokach i sile miłości, która łączy kobietę i mężczyznę. To była ostatnia rzecz, o której chciała słuchać, ale ściszony głos pastora działał na nią kojąco.

Delikatny wietrzyk powiewał na wiosennej łące, a para błękitnych ptaszków przefrunęła nad drzewami. Z tyłu wesoło szemrał strumień, którego wody przetaczały się po skałach.

Ten ślub wydawał się Karze nierealny. Wszystko było piękne, tak jak to sobie

niegdyś wymarzyła, i nagle zrobiło się jej bardzo smutno. Była zbyt mądra i doświadczona, żeby wierzyć w bajki.

- Czy ty, Karo, chcesz wziąć tego mężczyznę za męża...

Zadrzała. Co ona właściwie robi? Jak może składać fałszywą przysięgę i mieć nadzieję, że wszystko skończy się dobrze?

Spojrzała na ojca i na syna, na ich twarze rozpromienione szczęściem, i wzięła się w garść. Musi to zrobić. Dla nich.

John na pewno wyczuł, że dzieje się z nią coś złego, bo objął ją w talii i odwrócił do niej twarz. Kara musiała na niego spojrzeć. Mrugnął do niej, leciutko się uśmiechając. Od razu poczuła się lepiej.

- Tak - odparła, zdziwiona własnym szeptem.

Wyglądało to tak, jakby naprawdę była zakochaną panną młodą.

Potem złożył przysięgę John. Nie spuszczał z Kary oczu ani na chwilę. Gdyby nie wiedziała, że to wszystko było grą, nie miałyby powodu mu nie wierzyć.

- Gdzie są obrączki? - spytał pastor.

Tu czekała ją niespodzianka. Lane wystąpił naprzód, trzymając niebieskie aksamitne pudełko z dwiema złotymi obrączkami ozdobionymi brylancikami w kształcie gwiazdek. Nawet nie pomyślała o obrączkach, a już z pewnością nie o takich pięknych i kosztownych. Dlaczego John zadał sobie tyle trudu, skoro ich ślub był jedynie maskaradą?

W tej chwili nie miała siły się nad tym zastanawiać. Wzięli się za ręce i wymienili obrączki. Kiedy poczuła, że on także drży, omal nie zemdląca.

Dalsze słowa pastora przyprawiły ją o szybsze bicie serca.

- Teraz ogłaszam was mężem i żoną.

Mąż i żona. Te słowa huczały jej w głowie potężnym echem. Była żoną Johna Murdocka. Ogarnęło ją złe przeczucie. Stała nieruchomo, patrząc, jak John trzyma ją za rękę. Później objął ją i pocałował. Nagle zapomniała o całym świecie. Gdy odsunął się, śmiejąc się z jej zaskoczenia, usłyszała wiwatujący tłum. Kilkadziesiąt

cowbojskich kapeluszy poszybowało w górę i na łące rozpoczęła się zabawa.

John stał w tłumie gości, słuchając farmerów rozprawiających o klęsce suszy i spadających cenach bydła. Uśmiechał się i czasem rzucał jakąś uwagę, ale myślami był przy nowo poślubionej żonie, która teraz zajmowała się gośćmi.

Udało mu się zaprowadzić Karę do ołtarza, ale co powinien zrobić teraz? Kara wyraźnie miała do niego żal i wcale mu nie wybaczyła starych grzechów.

Przypomniawszy sobie, jak przed ślubem powiedział jej, że jest piękna. Przez sekundę była dawną Karą. Potem zmieniła się i znów zbudowała między nimi mur, tak jak zawsze, gdy John za bardzo się do niej zbliżył.

Jego wzrok padł na chłopca, który bawił się u stóp Pete'a. Z nim też będzie musiał postępować bardzo ostrożnie. Za każdym razem, gdy wchodził z Karą do pokoju chorego Lane'a, mały obserwował go z napięciem. Kiedy zjawiała się matka, chłopiec rozpromieniał się i uspokajał.

- Udane wesele, John. - Jess Martin, jego drużba i kolega z rodeo, poklepał go po ramieniu. Zapach pieczonego mięsa unosił się znad talerza, który trzymał w ręku.

- Bardzo romantyczne - powiedziała Sally, która dołączyła do nich z Pete'em.

- Kto by uwierzył, że syn Sama Murdocka kiedykolwiek się ożeni? - powiedziała zażywna starsza dama stojąca między Pete'em i Sally. - Pamiętam, jak Sam latał za każdą...

- Mildred - wtrąciła się Sally. - Ten chłopak to nie Sam.

John przez chwilę wpatrywał się w starszą panią i w duchu przyznawał jej rację. A jeśli nie potrafi dochować wierności? Jeśli wstanie któregoś ranka i opuści dom, tak jak zrobił to jego ojciec?

Rozpaczliwie szukał w tłumie Kary. Gdy ją dostrzegł, uspokoił się. Będzie dobrym mężem, czuł to. Dla Kary. Żadna plotkarka nie zepsuje jego wesela.

Kara odchyliła do tyłu głowę i zaśmiała się. Zafascynowany linią jej szyi i błyszczącymi diamentami, które miała w uszach, John przestał myśleć o przykrych

rzeczach. Girlanda kwiatów, którą Marietta wplotła w jasne włosy Kary, opadła na jej ramię. Żołądek podszedł mu do gardła i poczuł nagły przyływ pożądania. Była jego żoną.

Nie spuszczając z niej wzroku, odstawił kieliszek od szampana i ruszył w jej kierunku. Przyjęcie się skończyło. Teraz chciał zabrać pannę młodą do domu.

- Przenocuję z Lane'em w motelu - zaproponowała Marietta i uśmiechnęła się figlarnie.

Pod jakimś błahym pretekstem przyjaciółkom udało się wyrwać z tłumu. Wreszcie mogły swobodnie porozmawiać.

Kara bawiła się nerwowo obrączką. Znów czuła się bardzo nieswojo.

- Dlaczego?

- Właśnie poślubiłaś jednego z najseksowniejszych mężczyzn na świecie. - Marietta ze zniecierpliwieniem szturchnęła Karę w ramię. - Przecież to twoja noc poślubna.

- Nie będę z nim spała - syknęła Kara, rzucając z ukosa spojrzenie na Johna, który przedzierał się przez tłum. Jej tętno zabiło szybciej. - To jest wyłącznie układ.

Marietta uniosła brwi.

- Moja droga, sądząc z tego, jak on przez cały dzień na ciebie patrzy, z pewnością nie w głowie mu papierowe małżeństwo. Zaufaj mi.

Kara zauważyła te spojrzenia, ale nie mogła zapomnieć dziewiętnastoletniej dziewczyny, samotnej w obcym mieście, która na swoje nieszczęście uległa Johnowi. To prawda, że pożądała go, ale już raz przeżyła gorzki zawód. John prześpi się z nią, a rano już go nie będzie.

- Lane powinien ze mną zostać. Jego miejsce jest przy mnie. - Odstawiając talerz, przeszukała wzrokiem tłum. Chłopiec poszedł na poszukiwanie dziadka i Kara odetchnęła z ulgą, gdy ciągnie Pete'a za spodnie. Stanowili wzruszający widok - stary ranczer i pięcioletni chłopczyk wystrojony jak prawdziwy kowboj.

- To nie będzie łatwe - nie dawała za wygraną Marietta. - A jeśli dowie się, że Lane jest jego synem?

- Nie dowie się.

- A Josh? Jak ktoś mu powie, że wyszłaś po raz drugi za męża, narobi ci kłopotów. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. To łajdak.

Kara wstrzymała oddech. Zapomniała o Joshu. Był okrutny i na pewno zrobi wszystko, żeby jej uprzykrzyć życie. Na szczęście nie wiedział jeszcze, że wyszła za męża. Dopóki Lane nie dostanie rancza, będzie musiała unikać Josha.

- Nie obchodzi mnie nikt poza synem. Nie łam sobie swojej ślicznej główki - powiedziała stanowczo. - Poradzę sobie i z Murdockiem, i z Joshem.

- To bierz się do roboty, bo John właśnie tu idzie. - Marietta uśmiechnęła się promiennie. - Piękne wesele, John.

- Tak. - Obdarował ją przelotnym uśmiechem, po czym spojrzał na Karę. - Możemy już jechać?

- Dokąd?

- Do domu.

Kara była wyczerpana i pragnęła pożegnać się wreszcie z przyjaciółmi. Udawanie szczęśliwej panny młodej już ją zmęczyło. Doszła do wniosku, że łatwiej poradzi sobie z mężem na osobności. No i będą mogli przestać udawać.

- Jestem gotowa, tylko znajdę Lane'a. - Kara odwróciła się, żeby poszukać dziecka, ale John przytrzymał ją za ramię.

- Pete go weźmie.

- Nie.

- Ależ tak. Właśnie ich widziałem i mały jest zachwycony, że będzie nocował u dziadka.

- Nie miałeś prawa tego robić - powiedziała oschle.

- To był pomysł Pete'a.

- Przykro mi, ale chcę, żeby Lane został ze mną.

- Nie psuj im zabawy, Karo.

Świetnie. Wykorzystuje jej ojca i syna przeciwko niej, bo chodzi mu o własną przyjemność. Ale miała dla niego niemiłą niespodziankę. Czy Lane będzie w domu, czy też nie, Johnowi nie uda się żadna sztuczka. Chętnie spędziłaby z nim noc, ale wiedziała, że to oznaczałoby kłopoty. Z westchnieniem odparła krótko:

- No to chodźmy.

- Jess przyprowadzi konia.

- Gdzie jest Taffy? - Kara rozejrzała się, ale dostrzegła tylko wielkiego wałacha należącego do Johna.

- Jess odprowadzi ją do stajni.

Rozłożyła ręce.

- To jak mam wrócić do domu?

- Na Cochisie. - Wskazał głową swojego konia. - Ze mną.

- Nie. To idiotyczne. - Ale w głębi duszy pragnęła siedzieć na koniu obok Johna.

- To będzie symboliczne zakończenie dnia. - Uśmiech drgał na jego ustach. - Przyjechaliśmy osobno, a wrócimy razem.

Wspomnienia z przeszłości. Jak dobrze pamiętał sentymentalne, dziecinne plany, które snuli kiedyś, patrząc w gwiazdy.

- Nie zgadzam się. - Potrząsnęła głową i cofnęła się.

- Zrobię scenę. - Chochliki migotały w jego ciemnych oczach, gdy zbliżał się powoli do niej, jak kojot polujący na ofiarę.

Rozdrażniona zawahała się.

- Nie zrobisz.

- Oczywiście, że tak.

Ten diabeł był do tego zdolny. Uwielbiał być w centrum zainteresowania. O niczym innym pewnie nie marzył, tylko żeby przerzucić ją przez siodło i odjechać, śmiejąc się i wywijając kapeluszem, podczas gdy ona piszczalaby i wymachiwała

nogami.

Z teatralnym westchnieniem podeszła do czekającego konia. Niech już będzie po wszystkim. Gdy mijała Johna, złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie, szepcząc do niej:

- Goście na to czekają.

Ciarki przeszły jej po plecach. Chwycił ją w ramiona i opuścił głowę, tak że jego usta znalazły się o centymetr od jej ust. Przygotowała się na gorący pocałunek.

- Zajmij się nią, John!

Do diabła! Mieli audytorium - całą gromadę śmiejących się kowbojów.

Przysunął usta bliżej, aż jego ciepły, pachnący szampanem oddech zmieszał się z jej własnym.

Kiedy już była pewna, że nie wytrzyma tego oczekiwania, John potarł nosem o jej nos.

- Myślałaś, że cię pocałuję, prawda? - spytał i chochliki znów zamigotały w jego oczach.

Dookoła rozległ się śmiech. Mimo złożonej sobie obietnicy, że nie będzie zwracać uwagi na jego zaloty, miała ochotę śmiać się razem z innymi.

Ale tylko przewróciła oczami. - Pośmiejcie się. To wam nie zaszkodzi.

- Nienawidzę cię - zwróciła się do Johna, ale nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

John odrzucił do tyłu głowę i ryknął śmiechem, jakby powiedziała coś bardzo zabawnego. Postawił ją na ziemi, włożył stopę w strzemień i wsiadł na Cochisa. Pochylił się, chwycił ją w ramiona i posadził za sobą na siodle.

Uchylił kapelusza przed zgromadzonymi gośćmi.

- Dziękuję wam za przybycie. Zobaczymy się, jak wyjdziemy z żoną zaczerpnąć powietrza.

Kara westchnęła, zaczerwieniła się jak burak i ukryła twarz za plecami swego męża. Kiedy odjeżdżali wśród śmiechów, gwizdów i wiwatów, pomyślała, że

świetnie odegrali role. Nikt z gości nie wątpił, że to wesele było najprawdziwsze w świecie. Przez kilka sekund sama w to uwierzyła.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- W sypialni jest szampan. - John zdjął krawat i zrzucił elegancki smoking.

Z rękami skrzyżowanymi na piersi Kara stała w przerażająco cichym salonie. Zbliżał się moment, którego bała się najbardziej od chwili, gdy zawarli ten szalony układ. John Murdock, opalony i przystojny, patrzył na nią pożądliwie, powoli rozpinając guziki białej koszuli.

- Czy chciałabyś najpierw wziąć kąpiel? - Uniósł żartobliwie brew. - Ze mną?

Przez całą drogę do domu przyciskała się do jego pleców, obejmując go rękami w pasie. Kiedy pomógł jej zsiąść z konia, pragnęła rzucić się mu w ramiona i spędzić z nim poślubną noc. Marietta miała rację. To nie będzie łatwe.

Oblizwała wyschnięte wargi i wydusiła z siebie odpowiedź:

- Nie.

- Nawet nie wiesz, jak potrafię wyszorować plecy - kusił, zbliżając się do niej z diabelskim uśmiechem.

Cofnęła się, wpatrując się w jego nagi opalony tors, który wystawał spod rozpiętej koszuli. John szedł nadal ku niej.

Uniosła do góry rękę, żeby go powstrzymać. Nie zwrócił na to uwagi. Przycisnął ją do ściany.

- To był miły dzień - szepnęła.

- Noc będzie jeszcze miłsza. - Jego ciepły oddech muskał jej policzek. - Podobają mi się ta suknia. - Wsunął palec pod dekolt. - Przez cały dzień miałem ochotę ją z ciebie zdjąć.

- Nie. - Odepchnęła jego rękę.

- Co się stało? - Pogłaskał ją delikatnie za uchem. - Boisz się, że ci się to

spodoba?

Kara zamknęła oczy i poczuła dreszcz. Naprawdę się bała, że ulegnie Johnowi, a potem znów będzie z tego powodu cierpieć. Jak sześć lat temu...

- Nie chcę tego.

- A czego chcesz? - Musnął ustami jej wargi. - Powiedz mi. - Pocałował ją znowu, nie przestając kusić. - Zrobię wszystko, czego zapragniesz. Jestem twój.

Specjalnie udawał, że jej nie rozumie, i robił co w jego mocy, żeby ją uwieść. Czy zdoła mu się oprzeć?

- Nie to chciałam powiedzieć - odparła zduszonym głosem.

- Jesteś pewna? - Ustami dotknął jej dekoltu.

Kara poczuła, że nie jest w stanie zapanować nad swym ciałem. Dreszcze przebiegały jej po szyi i klatce piersiowej - cudowne i oszałamiające. Jeżeli szybko czegoś nie zrobi, zaraz będzie za późno.

Ogromnym wysiłkiem woli odwróciła od niego twarz.

- Nie zrozumiałeś, że powiedziałam „nie”?

- Mam ci wierzyć?

Zacisnęła zęby i pomyślała, że John jest naprawdę diabłem wcielonym.

Drżącymi rękami odepchnęła go od siebie.

- Spanie z tobą nie jest częścią naszej umowy.

Odsunął się z wyrazem powątpiewania na twarzy.

- Nie mówiłaś, że to wykluczone.

- Owszem.

Marszcząc brwi, przycisnął palec do skroni.

- Chyba nie zapomniałbym o czymś tak ważnym.

- Często zapominasz o ważnych rzeczach.

Cofnął się i była prawie pewna, że zrobiło mu się przykro. Wpatrywał się w nią długo, potem wzruszył ramionami i znów przybrał nonszalancką pozę.

- Dobrze, kochanie - powiedział z nienagannym teksańskim akcentem. - Sko-

ro tak sobie życzysz... - Nagle wpadł na jakiś pomysł. - Coś ci powiem. Zrób popcorn, a ja przyniosę Monopol.

- Co przyniesiesz? - Zamrugła ze zdziwienia.

- Kiedy ostatnio grałaś w Monopol? - Uśmiechnął się i odwrócił.

- Ja? - Nagła zmiana jego nastroju zupełnie wytrąciła ją z równowagi.

Ale taki właśnie był John.

Jeszcze podniecona, dotknęła chłodnymi rękami rozpalonych policzków i wzięła głęboki oddech. Dobrze. Może zagrać z nim w jakąś grę. Tylko niech on wreszcie zapnie tę koszulę.

John myślał, że dłużej nie wytrzyma. Jeśli jeszcze chwilę będzie tak stad na słońcu i patrzeć z tyłu na nagie uda Kary, to albo padnie martwy, albo ściągnie ją z tej drabiny, zedrze z niej szorty i ochłodzi wreszcie krew pulsującą w jego żyłach.

Niczego nieświadoma Kara pomachała młotkiem w kierunku powały.

- Uważaj na te osy.

Stękając, wspiął się na drugą drabinę i całą frustrację wyładował na nieszczęsnym gwoździu. Wszędzie było tyle do zrobienia, że nie powinien mieć już siły ani czasu na erotyczne fantazje, ale...

- Kiedy przybijemy blachę, będziemy mogli to pomalować, prawda? - Jej cienka bluzka opinała piersi.

- Tak - wymamrotał.

Wcale nie myślał o malowaniu. Jej stosunek do niego zmienił się z wrogiego na przyjazny, ale to wciąż nie było to, o czym marzył.

Kara spojrzała na błyszczący dach i uniosła brwi. Bez makijażu jej buzia ładnie się opaliła i była wprost prześliczna. Uśmiechnęła się, widząc jego skrzywioną minę.

- Chyba wstałeś lewą nogą.

- Jest za gorąco, żeby naprawiać dach. - Z ponurą satysfakcją wbił głęboko

jeszcze jeden gwóźdź.

- To był twój pomysł - powiedziała zgryźliwie. - Najpierw stodoła, żebyśmy mogli zająć się cielętami, a potem płot.

- Wiem. - Uśmiechnął się z przymusem, ale nie mógł zdobyć się na dowcipną odpowiedź, dodał więc tylko: - Przepraszam.

Zdjął kawał zardzewiałej blachy i rzucił na ziemię. Rój os wypadł z powały. John zamachał rękami i szybko zszedł z drabiny, ale zaczepił butem o najniższy szczebel i przewrócił się.

Kara krzyknęła i także zeszła na dół, ale za późno spostrzegła, że John leży na ziemi. Upadła na niego, pachnąca słońcem i kwiatami. Wreszcie był tak blisko niej, jak tego pragnął, tylko że nad ich głowami wirowało stado os.

John otoczył Karę ramionami i podniósł ją do góry. Osłaniając ją własnym ciałem, szybko przeniósł na drugi koniec rozległej stodoły.

- Chyba uratowałeś mi życie - powiedziała, uśmiechając się z wdzięcznością.

- W niektórych plemionach osoba, której ktoś uratuje życie, jest dłużnikiem zbawcy. Jak to było? - Udając, że nie może sobie przypomnieć, klepnął się w policzek. - A, już wiem. Twoje ciało należy teraz do mnie, dopóki mi się nie odwdzięczysz. - Podeszedł do niej z uśmiechem na twarzy. - Mam pomysł, jak mogłabyś się zrewanżować.

Przy ścianie był kran z przymocowanym szlauchem. Kara chwyciła go, wymachując nim jak bronią.

- Odsuń się, kowboju. Mogę ci wybić oko.

- Tchórz - skwitował, ale zatrzymał się.

Zmuszanie jej do czegokolwiek nie miało sensu.

Kara napiła się ze szlauchu i westchnęła z ulgą.

- Hej, zostaw trochę dla mnie - zażartował, podchodząc do kranu. Zaczekał, aż spojrzy w drugą stronę, i odkręcił go do końca. Woda wytrysnęła jej z ust. Zachłystnęła się i piorunując Johna wzrokiem, odskoczyła w tył.

- Ty draniu! - zawołała wesoło. Potem skierowała szlauch w jego stronę i strumieniem wody zmyła mu z głowy kapelusz.

Podszedł do niej.

- Nie pozwolę nikomu bawić się moim kapeluszem.

- Tak? - Ponownie skierowała strumień wody na kapelusz. - To go sobie weź!

John z udawaną furią pochylił głowę do przodu jak szarżujący byk i rzucił się na Karę, zasłaniając się rękami i prychnając. Oboje byli mokrzy. Chwycił szlauch, ale Kara nie miała zamiaru poddać się bez walki.

Rzucił szlauch i woda lała się teraz na ich stopy.

- Wiesz, że doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Przycisnął ją do ściany i opasał rękami. Przestała się śmiać i patrzyła na niego oczami okrągłymi z przerażenia, ale tym razem go nie odepchnęła. Pomyślał, że więcej nie może od niej oczekiwać, i przylgnął do niej całym ciałem.

- Widziałem taką scenę w kinie - powiedział ochryplym głosem, nie spuszczać z niej wzroku.

Kara podskoczyła, gdy gorącym językiem dotknął jej chłodnego i mokrego policzka. Od tylu dni pragnęła jego pieścizot. Ten jeden raz pozwoli mu się pieścić. Chciała, żeby przytulił się do niej. Chciała dotknąć jego ramion i pleców, poczuć gorący i słony smak jego ust.

John zlizął kroplę wody z jej ust i czekał na jej krok. Wydawało jej się, że to nie. Czowała bicie jego serca. Teraz, pomyślała, pocałuj mnie teraz.

Nagle całe pożądanie zamieniło się w piekący ból. Wrzasnęła i podskoczyła do góry, uderzając się mocno w nogę. Osa krążyła wokół jej biodra.

- Użądliła mnie! - krzyknęła Kara do zaskoczonego Johna.

- Ojej! - Opadł na kolana.

Delikatnie obejrzał ukąszenie. Kiedy ucałował użądłone miejsce, Kara prawie zapomniała o bólu.

- Zaczyna puchnąć - wymamrotał i pocałował ją jeszcze raz w miejscu, gdzie

kończyły się szorty. Kara zadygotała. Wziął ją na rękę, chcąc zanieść do domu. - Trzeba zrobić okład z lodu. - W jego czarnych jak węgiel oczach widać było troskę.

Kara ukryła twarz na jego piersi. Pragnęła go i wiedziała, że on to zauważył. Ale bez miłości nie było mowy o seksie.

Kara smażyła kurczaka - ulubione danie Johna - gdy otworzyły się nagle drzwi.

- Czy my się znamy? - zażartowała, patrząc na jego zakurzoną twarz i ubranie.

Nie mówiąc ani słowa, podszedł do zlewu, włożył głowę pod kran i odkręcił wodę. Wzdrygnął się z zimna. Pracował od wschodu słońca do późnej nocy. Choć Kara pomagała mu, bo Sally i Pete pilnowali Lane'a, większość pracy musiał wykonać sam. Podziwiała jego poświęcenie... i jego muskularne ciało pochylone nad zlewem. Podała mu ręcznik.

- Za dużo pracujesz. Dlaczego nie zostawisz trochę roboty na zimę?

- Nie mogę. - Potrząsnął głową, potem zdjął koszulę i wytarł pierś. - Trzeba się szybko zająć cielećkami. Będę musiał wynająć kogoś do pomocy.

- Czy nas na to stać? - Nas. Powiedziała „nas”, jakby naprawdę byli mężem i żoną, którzy wspólnie budują nowe życie, snują plany na przyszłość.

John również zauważył to i uśmiechnął się.

- Dobrze mieć współnika, prawda?

Musiała mu przyznać rację. Patrzyła, jak z jego włosów spada kropla wody i spływa po piersi aż do pępka. Przełknęła ślinę. Szybko odwracając się do kuchenki, przewróciła smażącego się kurczaka. Była za mądra i za ostrożna, żeby pakować się w kłopoty.

Kombinerki wyslizgnęły się z ręki Johna i cały zwój drutu kolczastego spadł, owijając się wokół jego stóp. Zaklął i kopnął go, zadowolony, że może na czymś wyładować swoją złość i frustrację.

Nie mógł znieść zachowania Kary. Jak długo jeszcze potrafi udawać miłego

faceta, który wcale nie przejmuje się jej chłodem? Już tyle dni próbował udowodnić jej, że nie jest chłystkiem, który może lada chwila odejść, i że powinna go pokochać. Był tym zmęczony. Tylko idiota nie dostrzegłby, o co jej naprawdę chodzi. Czekala na chwilę, gdy Lane stanie się prawowitym właścicielem rancza. Wtedy ona wyrzuci męża z domu... Tak, na pewno tak to sobie zaplanowała.

Pragnęli siebie nawzajem, ale nie pozwalała mu się kochać. Może z powodu Josha Riddleya? Może wciąż wierzyła, że Josh do niej wróci? John nieustannie zadreślał się podobnymi rozważaniami.

Niewykluczone, że wcale nie powinien był się żenić. Właśnie rozpoczął się sezon na rodeo. Czy nie lepiej załadować rzeczy na ciężarówkę i wyjechać?

Ale wtedy udowodniłby, że jest nieodrodnym synem swego ojczulka.

O, nie. Skoro potrafi wytrzymać osiem sekund na grzbiecie byka, równie dobrze może dotrzymać każdej obietnicy.

Zaklął pod nosem i powrócił do naprawy płotu. Nagle pastwiskiem przejechała ciężarówka i stanęła niedaleko niego. W tumanie kurzu zobaczył, jak wysiadają z niej Pete i Lane. Stanowili niezłą parę: staruszek i przedszkolak. Pete wyglądał jak stary ranczer, w wytartym kapeluszu i zniszczonych butach, a Lane jak nieopierzony kowboj, w błyszczących butach i nowiutkich dżinsach.

- Cześć, chłopcze. - Pete szedł, kulejąc, w jego stronę.

Miał na sobie wyblakłe, wypchane dżinsy i trzymał kciuki za paskiem spodni. Przyjrzał się ponurej minie Johna i plątaninie drutu u jego stóp.

- Nie możesz poradzić sobie z drutem?

- Nie w tym rzecz.

- Wszystko w porządku u ciebie i u Kary?

Kiedy John nie odpowiadał, Pete zmarszczył czoło.

- Nie mów mi, że miodowy miesiąc już się skończył.

John potarł obolały kark.

- Nie. - Jak mogło się skończyć coś, co się w ogóle nie zaczęło.

- To dobrze, to dobrze. - Na twarzy Pete'a widać było ulgę. Oparł łokieć o maskę ciężarówki i przesunął ciężar ciała na drugą nogę. - Będziesz tu pracować całe rano?

- Może. A co?

Tak, wymiana starych, zbutwiałych drewnianych słupków i zardzewiałego, zwisającego drutu zajmie trochę czasu.

- Sally suszy mi głowę o to kolano. - Pete uniósł do góry kapelusz i otarł rękawem spocone czoło. - Na nic się tu nie przydam, dopóki go nie wyleczę, więc chcemy pojechać do lekarza. Kara nie wróciła jeszcze i nie ma kto się zająć Lane'em. Tak jakoś wyszło...

John obwiązał drutem słupek i wstał.

- Gdzie pojechała Kara?

- Zabrakło jej farby. Mówiłem, że zajdziemy do sklepu, jak będziemy wracać od lekarza, ale wiesz, jaka ona jest. Jak postanowiła, że pomaluje tę stodołę, to nie spocznie, póki to nie będzie zrobione. Chyba wkrótce wróci.

John spojrział na nachmurzone dziecko, wyjął z tylnej kieszeni czerwoną chustę i otarł spoconą twarz i szyję. Sądząc po zagniewanych oczach malca, nie był on zachwycony rozwojem sytuacji. Cóż, Lane był równie nieprzystępny, jak jego mama.

- Zostaw chłopca. Popilnuję go.

Lane cofnął się i złapał dziadka za nogę. Rany boskie, chyba zaraz się rozpłacze!

- Chcę jechać z tobą, dziadku.

- Nie zachowuj się tak, Lane. John nie robi ci krzywdy. - Pete pogłaskał wnuczka. - Bądź grzeczny, to przywiozę ci to świecące w ciemności czerwone jo-jo, które ci się tak podobało. Co ty na to?

Lane rozpromienił się i puścił chore kolano Pete'a.

- Dobrze! - Uniósł do góry zaciśniętą pięść i zaczął kręcić się w kółko, wzbijając kłęby kurzu.

Pete uśmiechnął się i wskoczył do ciężarówki, nie spuszczając wzroku z Johna.

- Dzieci to nieskomplikowane istoty. Można zawsze je przekupić.

John był zdumiony zmianą nastroju Lane'a, ale za chwilę zdziwił się jeszcze bardziej. Ledwo Pete odjechał, Lane znowu się naburmuszył.

John przyjrzał się czarnym jak węgiel, wystraszonym oczom chłopca i jego ustom wygiętym w podkówkę. Jak przekonać do siebie to dziecko?

- Proszę pana...

- Twoja mama mówi do mnie John.

- Mhm. - Lane podszedł do płotu i zapatrzył się na zielone pastwisko. - Jak dorosnę, będę kowbojem.

- Naprawdę tego chcesz?

- Mhm. Chcę mieć to ranczo.

John zdjął rękawice i podał je chłopcu.

- Każdy kowboj musi umieć naprawić płot.

Lane spojrzał na skórzane rękawice, a potem na Johna. Na jego twarzyczce malowało się niezdecydowanie.

- Zrobimy dziadkowi niespodziankę.

Chłopczyk rozchmurzył się. John stłumił uśmiech, gdy małe rączki wsunęły się w olbrzymie rękawice. Podał Lane'owi jeden koniec drutu.

- Chodź ze mną do tego narożnego słupka.

Lane poszedł za nim, rozwijając po drodze drut.

- Proszę pana...

John westchnął ciężko. Tak długo mieszkali w jednym domu, a Lane ciągle mówił do niego per pan.

- Słucham?

- Gdzie są wszystkie konie?

- Gdzieś pobiegły. - John zatoczył ręką łuk.

- Kowboj musi mieć konia, prawda? Pan ma ładnego konia. A mama ma Taffy.

- Tak. - John spojrzał na małą postać w kowbojskich butach i kapeluszu. Mały wciąż mówił o koniach. O co mu może chodzić?

Nagle zrozumiał. Lane chciał mieć własnego konia. Uśmiech rozjaśnił jego twarz. Może stary Pete miał rację z tym przekupywaniem dzieci.

- Mamo! Mamo!

Wychylając się przez okno ciężarówki Johna, Lane krzyczał na całe gardło.

Kara, którą szyja i ramiona bolały od ciągłego malowania ścian, przerwała pracę. Przysłoniła ręką oczy, bo raził ją blask bijący od srebrnoniebieskiej ciężarówki, która wraz z przyczepą do przewożenia koni zatrzymała się na podwórzu.

- Szybko, mamó, szybko! Chodź zobaczyć!

Położyła pędzel na puszcze, chwyciła szmatę nasączoną terpentyną i ruszyła w kierunku chłopca, wycierając po drodze ręce pobrudzone farbą.

- Tata powiedział, że stawiacie płot.

John wyskoczył z ciężarówki i postawił na ziemi Lane'a.

- Mieliśmy coś ważniejszego do roboty, prawda, współniku?

Obaj spojrzeli na Karę z identycznymi uśmiechami na twarzach. Zaparło jej dech w piersi, poczuła radość i ból. Stali obok siebie ubrani w kowbojskie stroje. Byli tak przystojni i tak do siebie podobni. Ciekawe, kiedy ktoś zauważy to uderzające podobieństwo.

Lane chwycił ją za rękę i pociągnął do przyczepy, krzyząc z podnieceniem:

- Zobacz, mamó, jaki on jest piękny! John tak mówi.

Widząc zachwyt syna, Kara zapomniała o swoich troskach i spojrzała na męża z podnieceniem, jakie zawsze odczuwała na jego widok.

- Co ty znów wymyśliłaś, Murdock?

Chwycił ją za drugą rękę i powiedział z nie mniejszym ożywieniem niż dziecko:

- Sama zobacz.

Kara wiedziała, że nie powinien jej dotykać. Tak jej było dobrze, gdy jego ciepła, silna dłoń trzymała ją za rękę. Ostatnio za często wydawało jej się, że John naprawdę jest jej mężem. To była niebezpieczna gra. Ale nie cofnęła ręki.

Z przyczepy dobiegło ciche rżenie. Nad drzwiami ukazał się śnieżnobiały ogon i złoty zad konia.

- To panamilo, mamó. Prawda, że jest piękny?

Uśmiechnęła się, bo Lane przekreślił rasę konia.

- Mówi się palomino. Tak, jest piękny.

- John powiedział, że ten koń jest łagodny jak baranek i należy do mnie.

- Tak powiedział? - Przeniosła spojrzenie na Johna, który aż pękał z dumy.

- Nie gniewasz się? - spytał John.

- Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej.

Spojrzał w jej zielone oczy.

- Nic?

Serce zabiło jej szybciej. Znała to spojrzenie. Tym błyszczącym oczom i temu uśmiechowi coraz trudniej było jej się oprzeć.

- John - powiedziała ostrzegawczym tonem. - Nie zaczynaj.

- Dlaczego? - Był rozpromieniony. - Jesteś moją żoną.

- Niezupełnie. - Czy to był żal, czy ostrzeżenie?

Zbliżył się i poczuła jego zapach.

- Nie musi tak być.

- Musi.

Jego głos złagodniał. Leciutko dotknął palcem jej brody.

- Powiedz mi dlaczego.

Poczuła gęsią skórkę. Jej oddech stał się płytki.

Mogła podać mu wiele powodów, ale najważniejszy stał o metr od nich, nie rozumiejąc zupełnie, o czym dyskutują.

Odsunęła się, ale nadal czuła ciepło jego dotyku. Nagle zrobiło jej się smutno. Wyciągnęła rękę i poklepała po grzbiecie konia. To dobrze, że nie była z Johnem sama.

Lane odnosił się teraz do niego zupełnie inaczej. Przedtem nigdy nawet się do niego nie uśmiechnął, teraz wpatrywał się w Johna z prawdziwym uwielbieniem.

- Wyprowadź go, John. - Lane podskakiwał ze zniecierpliwienia. - Chcę na nim pojeździć.

John zawahał się.

- Nie wiem, kolego...

Kara uklękła przed synem i ujęła go za brodę.

- Lane, kochanie, nie możesz dzisiaj jeździć na tym koniu.

- Dlaczego nie? On jest mój. John tak powiedział. Chcę na nim pojeździć.

- On musi najpierw przyzwycząić się do nowego domu. Teraz na pewno jest trochę zdenerwowany.

- Aha. - Lane posmutniał.

- Hej, współniku. - John przykucnął obok Kary, ocierając się o jej ramię.

Kiedy odskoczyła, spojrział na nią i mrugnął do niej porozumiewawczo. Potem odwrócił się do Lane'a. - A może chcesz pojeździć na Cochisie?

Lane rozpromienił się.

- Naprawdę?

- Twoja mama może osiodłać Taffy i też pojechać. Prawda, Kara?

Zawahała się. Jego prezent dla syna wzruszył ją. Ostatnio nie czuła się dobrze, bo ciągle wspominała przeszłość. Czy teraz, tak jak siostra Johna, Jolene, będzie już tylko czekać na parę miłych słów i chwilę rozkoszy?

- Nie sędzę. - Trudno jej było podjąć decyzję, więc na wszelki wypadek pokręciła głową.

- Mamo, proszę. - Lane znowu zaczął podskakiwać z radości, że może uda mu się pojeździć konno.

John zmrużył czarne oczy.

- Zgódź się, Karo. Co ci szkodzi?

Do diabła, czuł, że ona mięknie.

- Stodoła sama się nie pomaluje.

- Zrobisz to jutro.

- Mamusiu, zgódź się.

Z westchnieniem poddała się.

- No dobrze.

Słońce świeciło mocno, ale kiedy cała trójka ruszyła konno przez pastwisko, zaczął wiać lekki wietrzyk. Lane, usadowiony przed Johnem, dumnie trzymał wodze. John jedną ręką obejmował go w pasie. Cochis, z natury bardzo żywy, teraz kroczył spokojnie obok Taffy.

- Jest bardzo ciepło. Może chcecie zatrzymać się nad strumieniem i odpocząć?

- Nie. - Szybka riposta Kary wywołała uśmiezek na twarzy Johna.

Ten nieszczęsny strumień był ostatnim miejscem, gdzie chciałyby pojechać, i John dobrze o tym wiedział. Wspomnienia letnich dni i nocy, chwil uniesień, życzeń wypowiedzianych pod usłanym gwiazdami niebem, wracały za każdym razem, gdy myślała o tym miejscu.

- Tchórz - rzucił John, uśmiechając się nad głową Lane'a.

Wzruszyła ramionami, udając obojętność.

- Jeśli chcecie pojechać nad strumień, to proszę bardzo.

John natychmiast skierował się w stronę ich ulubionego miejsca, zsiadł z konia i z uśmiechem zadowolenia położył się w cieniu.

- Uwielbiam tu przyjeżdżać. A ty, Karo?

Kara stała parę kroków dalej, spoglądając na czystą, pomykającą po kamieniach wodę. Chciała choć trochę ukoić stargane nerwy.

- Kiedyś pływaliśmy na golasa w taki upał. - John leniwie zwrócił się do Lane'a, ale Kara wiedziała, że te słowa skierowane były do niej. Spojrzała na niego, mając nadzieję, że nie będzie na tyle nierozsądny, żeby mówić o wszystkim przy dziecku.

Lane przekrzywił główkę, zerkając z ciekawością i podziwem na kowboja, którym pogardzał jeszcze parę godzin temu.

- Co to znaczy na golasa?

- To znaczy w samych majtkach - odparł z chichotem John.

- Ty i mama tak robiliście? - Oczy Lane'a były okrągłe ze zdziwienia.

- Ależ, John! - upomniała go Kara, kucając przy synu. - Nie razem, kochanie.

I to było dawno, dawno temu, kiedy byliśmy dziećmi.

Niech tylko ten łajdak spróbuje jej zaprzeczyć.

- Byliście tacy mali jak ja? - dopytywał się Lane.

- No... tak.

- Czy ja też mogę popływać? - Lane patrzył z nadzieją na czysty, chłodny strumyk.

- Nie!

- Dlaczego nie, Kara? Jest gorąco, przypilnujemy go.

Rozbierz go do majtek i niech się pobawi.

- Przestań, Murdock. Już wystarczy.

- Mamo, proszę! - Lane ściągał buty.

- Pływanie na golasa to piękna amerykańska tradycja. - John rzucił patykiem w Karę. - Wszystkie małe dzieci powinny tak się bawić.

Jedno spojrzenie na rozbawioną minę męża wystarczyło jej, by się upewnić, że pamiętał, jak dwoje bardzo dużych dzieci, rozgrzanych nie tylko słońcem, swawoliło w wodzie. John na pewno nie wspomni o tym przy pięcioletnim dziecku, ale wolała go nie prowokować.

Rozłożyła z rezygnacją ręce. Lane w samych majtkach biegł nad strumyk.

- Nie odchodź daleko od brzegu - zawołała, ostatkiem sił próbując ratować swój matczyzny autorytet. Ani Lane, ani Murdock w ogóle jej nie słuchali. - Te kamienie są omszałe i śliskie. Słyszysz?

Słońce połyskiwało w wodzie, ale brzeg był ocieniony łukiem drzew.

Lane włożył do wody palce, wydał pisk rozkoszy i zanurzył się w strumieniu. Woda sięgała mu do ud. Kara i John zostali na brzegu. John wyciągnął się oparty na łokciu, Kara siedziała o metr dalej i obejmując zgięte w kolanach nogi, obserwowała syna.

- Dobrze go wychowałaś - powiedział z podziwem John. - To świetny chłopak. Żywe srebro.

- Dziękuję.

- Musiało ci być ciężko po rozwodzie.

- Poradziłam sobie.

- Pomógłbym ci, chociaż Lane nie jest moim synem. Tyle ci jestem winien. Zesztywniała. Rozmowa na ten temat była niebezpieczna.

- Jesteś mi winien tylko ranczo.

- Załatwiam to.

Uniosła głowę i spojrzała na niego pytająco.

- W zeszłym tygodniu stary Culpepper zajął się sprawą adopcji. - Zerwał źdźbło trawy i przyglądał mu się z uwagą.

- Już podpisałem papiery i Lane będzie moim spadkobiercą, gdy tylko zakończy się proces adopcyjny.

- Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, Murdock.

- Jestem zadziwiającym facetem, to fakt.

- I skromnym.

Łaskocząc ją w nogę trawą, uśmiechnął się - nie tak jak zwykle z ironią, ale szczerze. Od tego uśmiechu zrobiło jej się błogo.

- Moglibyśmy wszystko naprawić, gdybyś tego chciała.

Nie miała zamiaru udawać, że go nie rozumie. Głęboko w sercu pragnęła, żeby on miał rację, ale to nie było takie proste. Bała się.

- Nie sędzę.

- Czemu się tak zmieniłaś, Karo? Czemu postawiłaś wokół siebie i Lane'a taki mur, że trudno się przez niego przebić? - Jego głos hipnotyzował ją. - Czy to przez twoje nieudane małżeństwo, czy przeze mnie?

- Przestań, John. - Odtrąciła trawę, którą ją łaskotał. John opuścił rękę i usiadł, przysuwając się do niej bliżej - o wiele za blisko.

Przeszedł ją dreszcz, jak zawsze, gdy John jej dotykał.

Położył rękę na jej ramionach.

- Moglibyśmy to zrobić, Karo. - Jego ciepły oddech drażnił jej ucho. - Naprawdę.

Czy to możliwe? Czy po tym wszystkim, *co* między nimi zaszło, naprawdę ich małżeństwo miało szansę powodzenia? Czy naprawdę mogłaby mu jeszcze zaufać?

- Czy wiesz, dlaczego ożeniłem się z tobą? - spytał niespodziewanie.

- Muszę przyznać, że to mnie trochę intryguje. Mogłeś uczynić Lane'a swoim spadkobiercą bez tego małżeństwa.

- Nie ożeniłem się z tobą po to, żeby twój syn stał się moim spadkobiercą.

Zesztywniała, przypominając sobie, jaka ich dzieli przepaść. Wróciły stare lęki.

- To był twój pomysł.

- Nie obrażaj się. To ranczo powinno należeć do Lane'a. Nie mam co do tego wątpliwości. Mówię ci tylko, że ożeniłem się z tobą nie po to, by uregulować sprawy własności rancza. - Zbliżył usta do jej ucha i zniżył głos do szeptu. - To przez ciebie.

Czy on chce powiedzieć, że ją kocha? Czy żałuje, że kiedyś ją zostawił? Pragnie naprawić krzywdę, którą jej wyrządził?

Bryła lodu w jej sercu zaczęła topnieć. Bardzo chciała uwierzyć w dobre intencje Johna i w jego uczucia.

W tej chwili musiała przyznać się do tego, z czym walczyła od początku. Nadal go kochała. Była głupia, bo kochała niewiernego Johna Murdocka.

Nad ich głowami szumiał w drzewach wiatr, a słońce oświetlało pole gęstej koniczyny nad strumieniem. Przypomniała sobie, jak leżeli na tej trawie, śmiejąc się, całując i kochając.

Był dla niej wszystkim, przyjacielem i kochankiem. Pocieszał ją po śmierci jej matki, gdy rozpaczała, że życie jest niesprawiedliwe. Stał obok niej i Pete'a na pogrzebie, mężnie podtrzymując ich oboje, choć jego oczy były podejrzanie czerwone. Kiedyś czuła się przy nim tak bezpiecznie.

Ogarnął ją smutek. Kiedyś ufała mu, a on ją zawiódł. Czy będzie mogła uwierzyć mu jeszcze raz? Czy można cofnąć czas? Tak się tego bała.

Drobny mięsień drgnął mu pod okiem. John utkwił wzrok w jej ustach.

Chciał ją pocałować. Ona też tego pragnęła. To nie było dzikie pożądanie, jakie czuli do siebie w stodole. Przez jedną krótką chwilę miała ochotę uwierzyć w szczęśliwe zakończenie. Uwierzyć w bajki.

- Kara? - Jego głos drżał.

Czy John bał się tak samo jak ona? Czy ją kochał?

Krew zaszumiała jej w głowie. Tylko on mógł wprowadzić ją w taki stan. Chciała przebaczyć, zaufać i pokochać.

Pocałował ją. Delikatnie, niepewnie, jakby robił to pierwszy raz. John Murdock nigdy nie był taki ostrożny i Kara zupełnie skapitulowała. Z westchnieniem zarzuciła mu ręce na szyję i odwzajemniła pocałunek.

Później odsunęła się zmieszana. Czy John chciałby być z nią, gdyby znał prawdę o Lanie? Czy też poczułby się zdradzony i zerwałby ich układ? Pragnęła powiedzieć mu prawdę, ale nie miała odwagi.

- To chyba zły pomysł - szepnęła, choć marzyła o następnym pocałunku.

Przyjrzał się jej uważnie i odsunął się. Wiedziała, że go zraniła, i zrobiło się jej przykro.

- Przepraszam... - wybąkała.

- Nie masz za co przepraszać. - Zaśmiał się nieszczerze. - Nawet jeśli jest mi przykro, to za chwilę mi przejdzie.

Znów ukrywał się pod maską nonszalancji. Ale tym razem szczerze żałowała, że stare rany nie mogą się zbliżnić.

- John.

Dotknęła jego policzka i podskoczyła ze zdziwienia.

- Murdock, jesteś gorący.

- Słyszałem to od wielu dziewczyn.

- Nie żartuję. - Przyłożyła dłoń do jego czoła. - Chyba masz temperaturę.

- Faktycznie czuję się dość dziwnie.

To dlatego zachowywał się tak łagodnie.

- To znaczy jak?

- Skóra mnie swędzi. - Rozejrzał się wokół. - Chyba nie siedzimy na mrowisku?

Kara o mało nie wybuchła śmiechem.

- Rozepnij koszulę!

- Mądrze mówisz! - Jednym ruchem zerwał z siebie koszulę. - Idziemy do wody?

- Nie. Chcę zobaczyć, czy masz na plecach wysypkę. Zawsze zaczyna się od pleców. Chyba zaraziłeś się ospą...

- Nie! - Odskoczył od niej, próbując wciągnąć na siebie koszulę.

- Nie bądź dzieckiem. Może jesteś chory.

- Jeśli tak, to na pewno odczuwasz złośliwą satysfakcję - wymamrotał przeżony.

- Oczywiście. - Odepchnęła ręce, którymi się zasłaniał. - A teraz pokaż plecy.

Ku jej rozczarowaniu na plecach nie było ani śladu czerwonej wysypki.

- Nic nie ma. - Kara z westchnieniem opadła na trawę.

John skrzywił się z rozpaczą.

- Czy przez ospę mogę stać się... - spojrzał na swoje spodnie i zadrzał - no wiesz, bezpłodny?

Nie umiała mu odpowiedzieć. Na ustach czuła jeszcze jego pocałunek i pragnęła, żeby znów ją przytulił.

Powiał wietrzyk. John znów zadrzał i jego ciało pokryło się gęsią skórką. Kara spojrzała w jego błyszczące czarne oczy i położyła dłoń na jego czole. Chyba miał gorączkę.

- Wystarczy, Kara. - Odsunął jej rękę.

- Och, Murdock, jaki ty jesteś okropny.

- Wiem o tym. Ale teraz chodzi mi o Lane'a.

Odwróciła głowę i poszukała wzrokiem syna. Jak mogła o nim zapomnieć?

- Za bardzo się oddalił. Lepiej go zawołać.

Lane był co najmniej sto metrów od nich, tam gdzie strumyk wpływał w głęboki kanion.

- Lane, wracaj! - zawołała.

- Oj, mamó! - Lane poszedł jeszcze parę kroków naprzód, nie słuchając polecenia matki.

- Wracaj w tej chwili, młodzieńcze!

Lane niechętnie zawrócił. Naburmuszony powłóczył nogami, kopiąc kamienie i rozpryskując wodę. Kiedy przeszedł pięćdziesiąt metrów, stracił grunt po nogami, pośliznął się i wpadł twarzą do strumyka.

- Lane! - wrzasnęła dziko Kara. Zerwała się z ziemi i pobięła do strumienia.

- On nie wstaje!

John miał błyskawiczny refleks, jak przystało na mistrza rodeo. Przeleciał jak strzała obok niej, wpadł do wody i chwycił dziecko. Fale spienionej wody rozbry-

zgiwały się wokół jego butów, gdy podniósł Lane'a do góry jednym szybkim ruchem.

Mały miał krew na nosie i na ustach. John wyniósł go na brzeg i podał drżącej Karze.

Przerażony i płaczący Lane trząśł się z zimna w ramionach matki. Krew poplamiała jej bluzkę.

- Skąd ta krew? - Kara nigdy nie ulegała panice, ale teraz czuła, że zaraz ogarnie ją histeria. - Czy złamał sobie nos? Wybił zęby? Co się stało?

John podniósł swoją koszulę z trawy i delikatnie wytarł buzię Lane'a.

- Nic nie widzę. Otwórz usta, współniku.

Chłopiec posłusznie otworzył buzię. Dwa rzędy białych ząbków były nienaruszone.

- Ugryzł się w język.

- Dobrze, że nic więcej się nie stało. - Kara odetchnęła z ulgą.

- Tak. Trochę lodu albo zimnej oranżady na pewno przyniesie mu ulgę. - John wyciągnął do chłopca ręce. - Daj mi go, bo zaraz się przewrócisz.

- Jeszcze nigdy się tak nie zdenerwowałam.

- Rozumiem cię.

Kara była mu wdzięczna, że nie śmiał się z jej przerażenia. W całym zamieszaniu zupełnie zapomniała o chorobie Johna. Trochę za późno powiedziała mu:

- Nie powinieś się moczyć.

Przytulając mokrego chłopca do siebie, zatrzęsł się.

- W tym upale zaraz wyschnę. Weź jego ubranie i chodźmy do domu.

- Zniszczyłeś sobie koszulę. - Pokazała plamę krwi na jego eleganckiej białej koszuli.

- Nie szkodzi. - Wsadził Lane'a na konia. - Możesz jechać, współniku?

- Tak.

- Zuch z ciebie. Wiesz, że jesteś dzielnym kowbojem?

Kara podała im ubranie Lane'a i wsiadła na Taffy. John delikatnie włożył Lane'owi podkoszulek i okrył jego kolana dżinsami. Rękami, którymi poskramiał byki i wierzgające konie, delikatnie przytulił do siebie chłopca.

Kara patrzyła na to ze ściśniętym sercem. John Murdock miał liczne grzechy na sumieniu, ale na pewno byłby cudownym ojcem dla własnego dziecka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Trzyście - wymamrotał John.

- Co? - Kara przerwała polerowanie starej mahoniowej komody i zerknęła przez ramię. Na jej twarzy ukazał się uśmiech. Mistrz rodeo leżał w łóżku i uważnie liczył medali. Lane siedział obok niego ze skrzyżowanymi nogami i triumfującym uśmiechem na buzi.

- Ten mały wygrał ode mnie trzyście ciężko zarobionych centów. - John klepnął się ręką po biodrze z udawanym przerażeniem. - Trzyście to nieszczęśliwa liczba. Mogę się znów przeziębic.

Właśnie z powodu lekkiego przeziębienia John leżał w łóżku w samych szortach.

W ubraniu, jak twierdził, było mu gorąco.

Czy był chory, czy zdrowy, od widoku jego półnagiego, opalonego ciała Kara robiło się gorąco. Opiekowanie się nim było dla niej nie lada wyzwaniem. Gdy zaprotestowała przeciw temu, żeby leżał rozebrany, tylko uniósł brwi i powiedział, że przecież są małżeństwem i Kara może w każdej chwili położyć się obok niego. Niewiele brakowało, żeby zwariowała i faktycznie wskoczyła do jego łóżka.

- Z gorączki możesz dostać pęcherzy na końcu swojego... - Uniosła znacząco brwi, pozwalając, żeby sam dokończył jej wypowiedź.

- No, Karo, jestem zszokowany. - Uśmiechnął się przebiegle, bo z pewnością nie wywołało to u niego żadnego szoku.

Rzuciła w niego ręcznikiem.

- Miałam powiedzieć: na końcu nosa.

- Chcesz, żebym stracił urodę? - Spojrzał na Lane'a z udawanym przerażeniem. - Twoja mama źle mi życzy, wiesz?

- A mną się bardzo troskliwie opiekowała, kiedy miałem ospę. - Lane trzymał talię kart i zgarniał swoje miedziaki na kupkę. Mało interesował się grą, którą prowadzili między sobą dorośli. On już zdecydował, że John jest jego bohaterem. - Chcesz zagrać jeszcze raz?

John westchnął ciężko i skinął głową.

- Czemu nie? Skoro nie możemy wyjść na dwór, bo siostra przełożona nie pozwala...

- Pójdziecie jutro. - Kara z zapalem polerowała komodę. - Na pewno zemdlalbyś na tym upale. Jesteś jeszcze osłabiony.

John zaśmiał się i błysnął białymi zębami. Wykorzystywał, jak mógł, swoją gorączkę, żeby Kara wokół niego skakała. Przez cały czas wodził za nią wzrokiem, tak jakby nie mógł się napatrzeć.

- Nie martw się, John. Wkrótce poczujesz się lepiej. - Lane zadomowił się w pokoju Johna i starał się, jak mógł, zabawiać przyjaciela.

- On już się czuje lepiej - sprostowała Kara. - Gdyby był naprawdę chory, leżałby bez ruchu jak trup.

Lane zachichotał. John jęknął.

- Podła. Mówię ci, że jest podła.

Chłopiec znów zachichotał.

- Tak, ale ja ją kocham. A ty nie?

John zerknął na Karę złośliwie i powiedział:

- Pewnie, że tak, współniku.

Choć żartował, zrobiło się jej przyjemnie. Od tego dnia, gdy po wypadku nad strumieniem wiózł do domu Lane'a, nie zważając na własną gorączkę, nie mogła

przestać o nim myśleć. Bardziej przejął się jej synem niż sobą i przypłacił to własnym zdrowiem. A jego praca na ranchu dowodziła wielkiego oddania. Naprawdę wszystko wskazywało, że chce się ustatkować i nie myśli o powrocie na rodeo.

Czy to możliwe, żeby tak się zmienił? Czy sam wierzył w to, że mogliby zacząć wszystko od początku? Czy można zapomnieć o bólu i złości, kiedy tyle się wycierpiało? Kochała go, ale czy mogła mu zaufać? Czy zrobiłaby mądrze, wracając do niego?

Bardzo chciała, ale przecież kiedyś oddała mu wszystko, a on zastawił ją samą w ciąży i romansował z tą podłą Shannon Sullivan.

Ale on nie wiedział nic o ciąży, kołatało się w jej głowie. Czy gdyby wiedział, wszystko ułożyłoby się inaczej?

Na to pytanie nie było odpowiedzi. Klamka już zapadła.

Z płynem do czyszczenia i szmatą pod pachą Kara zdjęła brudne prześcieradła z łóżka i wyszła z pokoju. Nie mogła dłużej patrzeć na półnagie ciało męża.

- Bawcie się dobrze. Posprzątam dom, póki nie płaczecie mi się pod nogami. John uniósł głowę znad kart.

- Nie musisz sprzątać biura. Zrobię to sam. Za dużo tam jest śmieci.

Dlaczego miał taki dziwny głos i unikał jej wzroku? Spojrzała na niego pytająco i odwróciła się na pięcie. Czyżby ukrywał jakiś sekret?

John pozwolił Lane'owi wygrać jeszcze dwa razy, zanim zdecydował, że nie ma co dłużej udawać chorego. Trzy dni temu miał gorączkę, ale już mu przeszło. Lubił, jak Kara się nim opiekuje i dotyka go. Tak przyjemnie było patrzeć na nią i wdychać jej zapach, tak zgrabnie wyglądała w krótkich szortach. Gdyby tylko nie miał gorączki... Doprowadzała go do szału, coraz trudniej przychodziło mu zachowanie zimnej krwi. Żaden kowboj nie wytrzyma długo w łóżku - chyba że będzie miał towarzystwo. Spojrzał na Lane'a. No, nie takie towarzystwo, ma się rozumieć.

- Wspólniku, a może byśmy stąd zwiali?

- Co? - Lane zmarszczył ciemne brwi.

- Wymkniemy się do stodoły i obejrzymy twojego konika - powiedział konspiracyjnym szeptem John.

Lane zawahał się, ale schował karty do pudełka i zsunął się z łóżka.

- Mama będzie zła.

- Dlatego musimy być bardzo, bardzo cicho. - Wyciągnął z szafy koszulę i dzinsy i rzucił je na łóżko.

Właśnie zaczął się ubierać, gdy Kara stanęła w drzwiach.

- Co robisz?

- O, nakryli nas. - Zrobił minę do Lane'a i odwrócił się w stronę Kary. Miała czerwone policzki i szkliste oczy, jakby dostała gorączki. Jego dobry humor natychmiast się ulotnił.

- Czy też jesteś chora?

- Jestem chora od tych kłamstw. - Wyciągnęła zza pleców stertę kopert. - Co to jest?

Nie była chora. Była wściekła. John upuścił koszulę na ziemię.

- Powiedziałem ci, żebyś nie wchodziła do biura.

- Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Tak myślisz?

- To tylko parę rachunków, Karo. - Miał je zapłacić tego dnia, gdy się chorował.

- Oglądałam księgi rachunkowe - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Wpędziłeś to ranczo w takie tarapaty, że mogą nam je zabrać.

John położył na twarzy rękę i westchnął ze zmęczenia. Jak ma wybrnąć z tej sytuacji, nie łamiąc słowa danego Pete'owi?

- Słuchaj, Kara. Sam się tym zajmę, dobrze? To nie twoje zmartwienie.

Powinien wiedzieć, że jej temperament nie pozwoli jej przejść spokojnie do porządku nad tą sprawą.

- To nie moje zmartwienie? Chodzi o przyszłość mojego syna. Nie będę patrzyła beczynnie, jak niszczysz wszystko to, co stworzył mój ojciec.

John miał już dosyć roli łajdaka. Także podniósł głos.

- Przestań, Kara.

- Nie przestanę.

Z zaciśniętymi pięściami i rozpaloną twarzą krążyła po pokoju.

- Mój biedny ojciec zaufał ci. Jak mogłeś mu to zrobić?

Oboje byli teraz zdenerwowani.

- Bardziej dbam o twego ojca, niż to sobie wyobrażasz.

- Całe życie poświęcił temu ranczu - zawołała. - Te długi go zabiją!

Na widok jej twarzy wykrzywionej złością, nie mógł się powstrzymać i krzyknął:

- To jego długi!

Kara cofnęła się i gwałtownie pobladła.

- Mój tata nie dopuściłby do takiej sytuacji - odparła z niedowierzaniem.

- Spójrz prawdzie w oczy, Kara. Nikt nie jest doskonały. Wszyscy popełniamy błędy: i ty, i ja, i twój tata. Gdybyś nie była taka uparta i zaślepiona, zauważyłabyś, że ojciec nie radzi sobie z ranczem i potrzebuje pomocy.

- Chcesz powiedzieć, że wzięłaś to ranczo z dobrego serca, by wyciągnąć mojego ojca z tarapatów?

- Tak! - John chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

Kiedy wreszcie Kara przejrzy na oczy? Kiedy przestanie spodziewać się po nim najgorszego? Nie mógł wiecznie odpowiadać za winy swego ojca, czy ona tego nie rozumie?

Oboje byli tak rozgorączkowani, że zapomnieli o stojącym obok chłopcu. Ale kiedy John położył ręce na ramionach Kary, Lane rzucił się na niego.

- Zostaw moją mamę! - krzyknął, kopiąc i okładając go pięściami. - Nie bij jej! Nie bij jej!

Kara i John zamarli w bezruchu. Kara zbladła. Przyklękła przy szalejącym chłopcu i chwyciła go za ręce.

- Przestań, Lane! John mnie nie uderzy.

- Tak jest, kowboju. - Widząc przerażenie na twarzy dziecka, John zapomniał o swej złości i wziął Lane'a w ramiona. - Kowboj nie bije kobiety. Opiekuje się nią.

- Mój tata ją bił.

Kara zaczerpnęła tchu. John spojrzał na nią i wyczytał z jej oczu prawdę.

Kiedyś kopnął go byk. Trafił go prosto w żołądek, gdy John leżał na arenie. Starał się złapać oddech, ale nie mógł. Tak samo czuł się teraz.

W ciszy i zdumieniu klęczeli na podłodze, zszokowani tym, co powiedział chłopiec. John czuł wściekłość i ból. Powinni porozmawiać o tym wszystkim, ale nie przy chłopcu.

John posadził Lane'a na kolanie.

- Słuchaj, Lane. - Uniósł brodę dziecka do góry. Czarne oczy spoglądały na niego z przerażeniem. - Twoja mama i ja musimy o czymś porozmawiać. Może poszedłbyś na chwilę do dziadka?

Lane patrzył podejrzliwie.

- Będziesz jeszcze krzyczeć?

- Daję ci słowo honoru, że nie. - Delikatnie pogłaskał go po włosach. - Nie będę krzyczeć.

- Nie uderzysz mamy, prawda?

John jęknął i pocałował chłopca w czoło. Czuł się tak, jakby dostał cios w żołądek.

- Przysięgam ci, że nigdy nie uderzę twojej mamy.

Dziecko uspokoiło się trochę.

Kara poruszyła się.

- Już dobrze, kochanie. John nigdy nie uderzyłby ani ciebie, ani mnie. - Błada i drżąca przytuliła Lane'a i pocałowała go w to samo miejsce, gdzie chwilę wcześniej pocałował go John. - Powiedz dziadkowi, że musimy porozmawiać i przyjdziemy po ciebie za chwilę.

Kara sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Pete'a. Potem odłożyła słuchawkę i patrzyła nieruchomo w ścianę.

John wziął ją za ramię i przyciągnął do siebie najdelikatniej, jak potrafił.

- Twój mąż cię bił? - spytał cicho.

Jej wystraszone oczy zwilgotniały. Usta wykrzywiły się w żalnym grymasie.

- Lane był taki mały. Myślałam, że nic nie pamięta. - Łzy spływały jej po policzkach. - Nie chciałam, żeby pamiętał, nie chciałam.

- Och, Kara. Tak mi przykro, tak bardzo przykro. - Przytulił ją mocno do nagiej piersi, nie mogąc opanować wzruszenia.

Wina i wyrzuty sumienia doprowadzały go do szaleństwa.

- Gdybym nie był takim głupcem... Gdybym cię nie zostawił dla tego cholernego rodeo...

Kara płakała, a on myślał, że serce mu pęknie. Jedyna kobieta, jaką kiedykolwiek kochał, związała się z łobuzem. I to z jego winy. Jak miał żyć, wiedząc, że tak ją zawiódł? Nic dziwnego, że bała się go kochać. Czuł się takim samym niegodnym zaufania egoistą jak jego ojciec.

- Kochałaś go? Czy dlatego to znosiłaś?

- Nie, nie - powiedziała twardo, potrząsając głową. - Nigdy go nie kochałam. Nigdy.

- No to dlaczego?

- Lane - wyznała rozpaczliwym szeptem. - Wyszłam za niego z powodu Lane'a.

To potwierdziło jego obawy - była w ciąży, wychodząc za Josha Riddleya. Prawda okazała się zbyt bolesna. W odwecie za to, że ją zostawił, szukała pocieszenia w ramionach pierwszego napotkanego mężczyzny.

- Nigdy nie pozwoliłbym, żebyś wyszła za kogoś takiego. - Ujął jej twarz w dłonie i Scałował łyzy. - Dlaczego na mnie nie zaczekałaś?

Zbladła i próbowała się wyrwać, ale John chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Dlaczego? - powtórzył pytanie.

- Shannon Sullivan - wyznała łamiącym się głosem.

- Shannon Sullivan? - Zamrugął ze zdziwienia. - A co ona miała z nami wspólnego?

- Sam wiesz, co było między wami. - Kara przygryzła wargę i uniosła do góry brodę. Nos miała czerwony, a oczy wilgotne od łez, ale duma była silniejsza. - Spotkałam ją miesiąc po twoim wyjeździe. Powiedziała mi o waszym związku. - Łzy znowu napłynęły jej do oczu.

John zmarszczył czoło. Jak przez mgłę pamiętał, że tańczył kiedyś z pulchną blondynką, która włóczyła się po wszystkich klubach, gdzie lubili zaglądać kowboje, i szła do łóżka z każdym, kto jej to zaproponował.

- Między mną i Shannon nigdy nic nie było.

Kara potrząsnęła z niedowierzaniem głową. Znowu zaczęła płakać. Ocierała łzy wierzchem dłoni, ale płynęły nadal.

- Uganiała się za tobą w szkole, a mnie nienawidziła, bo stałam jej na drodze. Kiedy pojechałeś na rodeo, poderwała cię. Tak mi powiedziała.

Kara znów spróbowała mu się wyrwać, ale trzymał ją mocno. Musiał ją przekonać. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Shannon kłamała, Karo. Ona latała za wszystkimi kowbojami.

- Ale zależało jej na tobie.

- Ja chciałem robić karierę. Wcale nie interesowały mnie dziewczyny. Dlaczego mi nie wierzysz? - Zacisnął zęby. - Nie jestem taki jak ojciec. Nigdy cię nie zdradziłem z Shannon. Nigdy!

Kara opadła z sił. Na jej twarzy malowały się smutek i przerażenie.

- Chcesz powiedzieć - jej głos załamał się - że nie musiałam wychodzić za Josha Riddleya?

Żal ścisnął go za serce. Tyle musiała wycierpieć.

- Jak mógłbym ci to wynagrodzić, kochanie? - Czule wodził ustami po jej twarzy, jej oczach i policzkach. - Powiedz, jak ci to wynagrodzić?

Bardzo pragnął, by zapomniała o wszystkich cierpieniach, i przycisnął głodne usta do jej warg. Kara przytuliła się do niego. Pragnął tej kobiety do szaleństwa. Krew pulsowała w jego żyłach. Tyle tygodni czekał na tę chwilę.

Kara przesunęła ręce po jego nagich plecach i piersi, aż ugięły się pod nim kolana. Poprowadził ją w stronę łóżka.

- Nigdy nie przestałem cię pragnąć - szepnął chrapliwie do jej ucha.

Gdy jej kolana dotknęły materaca, John odsunął się i popatrzył na jej zarumienioną twarz. Chciał, żeby wiedziała, że nigdy nie pozwoliłby, żeby jakiś mężczyzna ją skrzywdził.

- Wróciłbym, gdybym wiedział o dziecku.

Kara zmieniła się w jednej chwili. Znieruchomiała, jakby ktoś wylał na nią kubel zimnej wody. Już nie odpowiadała na jego pocałunki. Jednym ruchem odepchnęła go od siebie.

- Kara? - Co on takiego powiedział? Nie rozumiał, co się stało.

- Nie powinnam była tego robić. - Uniosła do góry brodę.

Ze łzami na rzesach wyglądała tak niewinnie.

Zanim zdążył zaprotestować, wypadła z sypialni. Za chwilę usłyszał trzaśnięcie frontowych drzwi.

Co się stało? Najpierw wyglądała na zakochaną, a potem skoczyła mu do oczu. Czy jego pocałunki były takie okropne? A może był zbyt natrętny?

Uderzył się ręką w czoło. Właśnie wyznała mu, jak ją traktował Riddley, a on sam zachował się jak brutal.

Głupi jesteś, Murdock, złościł się w duchu, potrząsając głową. Ta kobieta potrzebuje delikatności i czułości, a ty rzucasz się na nią jak dzikus.

Ze złości kopnął łóżko, aż zaboląła go noga. Zaczął skakać na drugiej, zado-

wolony, że spotkała go kara. Znowu się nie popisał. Starał się, jak mógł, ale geny ojca wzięły górę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Co robisz?

Kara podskoczyła ze strachu i odwróciła się, trzymając w ręku szczotkę do włosów.

- John! Nie słyszałam, jak wszedłeś.

Właśnie wziął prysznic i jego włosy były mokre i błyszczące. Nawet po całym dniu pracy na ranczu wyglądał znakomicie.

Krew napłynęła jej do twarzy. Od wczorajszego spotkania unikała go, a teraz stał w jej sypialni. Nie wiedziała, co powiedzieć, jak wytłumaczyć swoje dziwne zachowanie. Najpierw Ignęła do niego, a potem go odepchnęła. Dowiedziała się, że jej nie zdradził. Za to ona zdradziła jego. Kto wie, co John robi, gdy się o tym dowie. Może zabierze ranczo, a skoro zaczął się już starać o adopcję, to może nawet odbierze jej dziecko. Ale najgorsze było to, że jego czułość i pożądanie mogą zamienić się w nienawiść.

John spojrział na rozetlane łóżko i zwiewną koszulę nocną na poduszce.

- Jesteś zmęczona?

Wystarczyło, że spojrział na jej koszulę, a w jej głowie już zaczęły się kłębić myśli. Starła się zapomnieć o poczuciu winy i zdenerwowaniu i wydusiła z siebie uprzejmą odpowiedź.

- Ależ skąd. - Odwracając się, sięgnęła po zieloną gumkę do włosów. - Lane nocuje dziś u taty, więc nie robiłam kolacji. Jeśli jesteś głodny, mogę ci coś przygotować.

- Mam dla ciebie niespodziankę. - Wyciągnął rękę. - Chodź ze mną.

- To chyba nie jest dobry pomysł.

- Daj spokój, Kara. Czy nie możemy być dla siebie mili? Do niczego cię nie będę zmuszał. Obiecuję.

Nie mogła spojrzeć mu w oczy.

- Znam twoje sztuczki, Murdock.

Uniósł jej brodę palcem. Psotne chochliki igrały w jego oczach.

- Może nauczyłem się nowych sztuczek.

Mimo woli uśmiechnęła się.

- Nie wątpię.

- No to chodź. Zaryzykuj. Przekonaj się, co potrafię. Co ci szkodzi?

Już chyba nic nie mogło jej zaszkodzić.

- Jesteś dziś bardzo tajemniczy. - Jednak zsunęła kapcie, włożyła sandały i poszła za nim do stodoły. Dwa osiodłane konie czekały na nich.

- Czy gdzieś jedziemy?

- Tak.

- Ale nie powiesz nic więcej?

- Nie. - Podał jej czerwoną chustkę. - Zawiąż to na oczach.

Rozkoszne dreszcze przebiegły po jej ciele, wywołując gęsią skórkę. Odsunęła się.

- Mam to zawiązać na oczach? Chyba znowu śnisz na jawie, Murdock.

- Boisz się?

- Nie! - Ale po chwili dodała: - Może. Co ty knujesz?

Wręczył jej chustkę.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Wiedziała, że to głupie, ale nie mogła oprzeć się pokusie.

Zawiązał jej oczy. Odgarniając jej włosy z szyi, musnął ustami jej kark i zaśmiał się ochryple, gdy zadrżała i odchyliła się. Jego silne ręce wsadziły ją na siodło.

Cochis i Taffy poniosły ich przez łąkę. Po kolejnym gorącym dniu noc była

trochę chłodna. Świerszcze i żaby śpiewały zgodnym chórem. W oddali rozległo się wycie kojota.

- Coś tu kwitnie. - Jego przytłumiony głos wywołał znowu gęsią skórę na jej ramionach.

- To kapryfolium. Ładnie pachnie. - Jej głos także był zmieniony.

Parskanie koni, miękki stukot ich kopyt na gęstej trawie, skrzywienie siodła i pobrękiwanie uprząży - wszystko potęgowało magiczny nastrój. John już więcej jej nie dotknął, ale czuła go przy sobie.

Zanim dojechali do celu, Kara usłyszała szum wody. Gdy konie zatrzymały się, John zszedł ją z siodła i przytulił. Gdy pocałował ją czule, pragnęła zapomnieć o wszystkim, co ich dzieli.

Jej serce zabiło mocno, gdy wziął ją w ramiona.

- John?

- Ciii.

Położył ręce na jej chustce.

- Jesteś gotowa? - spytał łagodnie.

Poczuła dreszcz na plecach i skinęła głową.

- Zamknij oczy.

Z bijącym sercem posłuchała go. Co ten szalony kowboj zamierza zrobić?

John zdjął jej z oczu chustkę i odsunął się. Usłyszała chrobot, a potem poczuła delikatny zapach siarki, który zaraz rozpląnął się w powietrzu. Wokół pachniało różami.

- Nie patrz jeszcze i nie bój się - szepnął tajemniczo i zmysłowo.

Coś wystrzeliło głośno, a potem usłyszała brzęk, plusk, szelest... i zapadła cisza.

- Dobrze - wymruczał, stojąc blisko. - Teraz otwórz oczy.

Serce załopotowało jej w piersi. Nie wiedziała, co zobaczy - może nowego źrebaka, ale nie, to na pewno nie to. Przywiózł ją nad strumień, gdzie drzewa rosły w

półkołu, odgradzając ich od reszty świata. Narzuta obsypana świeżymi płatkami róż była rozpostarta na gęstej koniczynie. Pośrodku stało srebrne wiaderko z szampnem. Obok kosz piknikowy, a na nim dwa porcelanowe talerze. Po obu stronach jasno migotały świece. John ukląkł przy świeczkach, trzymając dwa kieliszki do szampana. Wyglądał uwodzicielsko. Jego ciemne, kędzierzawe włosy połyskiwały w świetle świec. W onyksowych oczach migotały iskierki. Jego koszula była rozpięta, odsłaniając nagi brzuch. Uniósł jedną brew i wręczył Karze kieliszek szampana.

- Pani Murdock, czy napije się pani ze mną?

Pani Murdock. Nigdy wcześniej tak się do niej nie zwracał. Co to ma oznaczać?

Drżąc, uklękła obok niego na płatkach róż. Ich słodki zapach unosił się w powietrzu. Kara wzięła kieliszek i wypila łyk, spoglądając na męża.

- Podoba ci się? - spytał niespokojnie.

- Po co to wszystko? Nie rozumiem.

- Chciałem wynagrodzić ci cierpienia.

A więc o to chodziło. Żałował jej. A gdyby wyznała mu wszystko? Jej podniecenie znikło.

- Chcę zapomnieć o przeszłości, Murdock.

- Możesz?

- Tak. - Nie powiedziała całej prawdy. Mogła zapomnieć o Joshu, jego awanturach. Mogła nawet zapomnieć, jak cierpiała, gdy John ją porzucił. Ale nigdy nie zapomni sekretu, który ich dzielił.

- Otwórz usta.

Podał jej truskawkę w czekoladzie.

- Nie - pokręciła głową. Ale jemu nie można było odmówić. Przycisnął owoc do jej ust, aż się poddała.

Tak długo była sama, a teraz co dzień robił jej jakieś niespodzianki. Mimo

strachu coraz bardziej go kochała. Wskazała ręką kosz.

- Nie masz tam pieczonego kurczaka?

- Nie. Same afrodyzjaki. Truskawki, szampan. - Zmarszczył brwi i sięgnął do kosza. - Mam też bitą śmietanę. - Na jego twarzy pojawił się uśmiezek. - Właśnie wpadł mi do głowy pewien pomysł.

Bardzo lubiła te pomysły.

- Nie wątpię.

- Chcesz się przekonać? - Zbliżył się do niej z nadzieją w oczach..

- Raczej nie.

- Boisz się?

- Jestem przerażona.

Objął ją i delikatnie pocałował.

- Czy słyszysz, jak bije mi serce? - Położył jej rękę na swojej piersi. - To, co zrobił twój mąż, sprawiło mi wielki ból. Chcę ci pokazać, jak potrafi kochać prawdziwy mężczyzna.

Miłość. Próbowwała sobie przypomnieć, dlaczego nie powinna kochać Johna. Ale w głowie miała pustkę. Jej umysł przestał funkcjonować, liczyło się tylko serce.

Trochę później, po kąpieli w strumieniu, John i Kara leżeli na kocu, trzymając się w objęciach. Znowu przypomniała sobie, jak dobrym jest kochankiem. Pomyślowym, namiętym i bardzo delikatnym. Tak delikatnym, że miała ochotę rozpląkać się ze szczęścia.

John poruszył się i musnął ustami jej ramię.

- Śpisz? - spytał zadowolonym głosem.

Pogładziła go po ramieniu.

- To ty zawsze zasypiałeś.

- Środek nasenny dla ubogich. Po prostu zwala z nóg. Językiem zataczał kółka na jej szyi, aż dreszcze przechodziły po jej ciele.

- To dlaczego nie śpisz teraz?

- Nie mogę zasnąć, gdy mam wreszcie to, czego pragnąłem od tak dawna.

- Tak? - Była uszczęśliwiona.

- Wreszcie jesteś moja.

- Naprawdę nigdy nie przestałeś o mnie myśleć?

- Skądże. Powiedziałem to tylko dlatego, żeby zaciągnąć cię do łóżka.

- John! - Usiadła na kocu.

Księżyc oświetlał jej nagie ciało. John przytulił ją do siebie.

- Mówiłem prawdę. Chcę, żebyśmy byli rodziną. Ty, ja i Lane. Prawdziwą rodziną. - Widzisz tamtą gwiazdę? - Wskazał palcem niebo.

- To Gwiazda Polarna.

Pogłaskał Karę po wilgotnym, gładkim ramieniu.

- To nasza gwiazda, pamiętasz? - Patrząc na nią, wypowiedzieliśmy życzenia.

John przekręcił się na bok, żeby lepiej widzieć Karę.

- Wiesz, że właśnie dlatego nazwałem ranczo „Gwiazda M”? Na pamiątkę.

Kara była zaskoczona.

- Myślałam, że...

John objął ją mocno.

- Myślałaś, że jestem najbardziej zarozumiałym kowbojem na świecie.

- Tak.

- Miałaś prawo tak uważać. - Westchnął ciężko, co wcale do niego nie pasowało. - Żałuję, że cię zostawiłem. I że ze mną nie pojechałaś. Całe życie starałem się nie być taki jak mój ojciec, a zostawiłem cię, tak samo jak on moją matkę.

- Nie byłeś żonaty, a twój ojciec był. To duża różnica.

Ujął jej twarz w dłonie, odgarniając wilgotne loki, które opadały mu na pierś.

- Gdybym był twoim mężem, ten łobuz nie skrzywdziłby cię, a Lane byłby moim synem, nie Riddleya. Jeśli to cię może pocieszyć, powiem ci, ścierpiałem męki, gdy dowiedziałem się, że urodziłaś dziecko innemu mężczyźnie.

Myśli zakłębiły się w jej głowie. Czy zrobiła błąd, że nie powiedziała mu, że to on jest ojcem Lane'a?

Powiedz mu, kusiło ją. Powiedz mu teraz. Ale bała się i nie powiedziała ani słowa. Właśnie go odzyskała i nic chciała go znowu utracić. Wierzył, że Lane jest synem Josha. Gdyby dowiedział się prawdy, byłaby w jego oczach nie tylko oszustką, ale kimś znacznie gorszym - kobietą, która ukryła przed nim jego dziecko. To mogłoby zniszczyć ich związek.

- Josh Riddley dla mnie nie istnieje. Nie mówmy o nim.

- Martwię się tym, Kara. Coś mówi mi, że prędzej czy później będziemy mieć z nim kłopot. - Pogłaskał ją po brodzie.

Ona martwiła się jeszcze bardziej.

- Złożyliśmy papiery o adopcję. Lane będzie twoim prawowitym synem. Josh nic nam nie robi.

- Wiem, jak bym się czuł, gdybym miał syna i jego matka ukrywałaby go przede mną.

- Jak? - spytała z bijącym sercem.

- Czułbym się oszukany. Wściekły. Ojciec ma takie samo prawo do swoich dzieci jak matka.

Tego właśnie się najbardziej bała. Nawet ich wielka miłość nie pomoże im przez to przebrnąć. John znienawidziłby ją, gdyby się dowiedział, że Lane jest jego synem. Nie miał pojęcia o jego istnieniu przez pięć lat.

John zasługiwał na to, by poznać prawdę. Ale zbyt się bała, że go znów utraci.

- To wspaniałe dziecko. - Gdy John poruszył się, zapach róż uderzył jej do głowy. - Chciałbym nauczyć go jeździć na rodeo.

Nie wyobrażała sobie, żeby można było kochać kogoś bardziej. Ale wciąż się bała.

- Lane powinien uczyć się od najlepszych.

- Dziękuję. - Z uśmiechem ucałował ją. - Chciałbym cię jeszcze o coś spytać.

- Czy chodzi ci o Lane'a? - zaniepokoiła się.

Czy tak będzie zawsze? Czy zawsze będzie drżała ze strachu, gdy tylko zaczęła rozmawiać o ich synu?

- Nie. Myślę o rodeo.

- Co takiego?

- Chciałbym pojechać na rodeo do Ft. Worth pod koniec miesiąca.

Kara poczuła, że ogarnia ją panika.

- Nie. To wykluczone.

- Nagroda jest bardzo wysoka. Mógłbym kupić byka, który jest nam potrzebny, i jeszcze by trochę zostało.

- A jeśli coś się stanie? - Usiadła i spojrzała mu prosto w oczy. - Jeśli byk cię poturbuje?

John pogłaskał ją po twarzy.

- Ależ, kochanie, jestem dobrym kowbojem.

- Nawet najlepsi kowboje odnoszą rany. A czasem giną.

- Nic się nie stanie, obiecuję. - Uśmiechnął się zawadiacko. - A teraz połóż się obok mnie i spróbujemy tej bitej śmietany.

Kara odepchnęła go.

- Zastawiłeś na mnie pułapkę, tak? Ten piknik, seks - tak jak kiedyś wzięłeś to, czego chciałeś, i znów mnie zostawiasz.

- Nie! - Przytulił ją mocno do siebie. - Zależy mi na tobie, Kara. Nie wiedziałem, że tak się zmartwisz jednym małym rodeo.

- Kiedy ostatnio pojechałeś na rodeo, nie było cię sześć lat. Mam być spokojna?

- Tym razem tak nie będzie. Nie zostawię cię. Ty i Lane pojedziecie ze mną do Ft. Worth.

Czuła bicie jego serca.

- Boję się, John. Może wyda ci się to śmieszne, ale mam złe przeczucia.

- A ja mam przeczucie, że wygram. Wiem, co mówię. Jestem dobry, a wygrana jest ogromna. Zjadą się wszyscy kowboje z pięciu stanów.

Wszyscy kowboje z pięciu stanów. A więc Josh Riddley też tam będzie. Pętla na jej gardle zacisnęła się.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się do niego.

- Nie mogę cię znów utracić.

- Kochanie, potrzebujemy tych pieniędzy. - Odgarnął jej włosy do tyłu i ucałował w czoło. - Nic się nie stanie. Nie martw się.

Był dobrym kowbojem i jeśli postanowił zarobić pieniądze w taki sposób, to nie było rady. Ale nadal nie mogła się uspokoić. Czuła, że na tym rodeo stanie się coś złego.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gęsty tłum zgromadził się wokół Cowboy Coliseum w Ft. Worth. Można było kupić koszulki z wizerunkiem kowbojów, meksykańskie jedzenie i olbrzymie precle. Kowbojki w obcisłych czerwonych dżinsach i bluzkach z dużymi dekolcami sprzedawały programy w holu. Kara poprosiła o drugi program. Lane, podekscytowany pierwszą jazdą Johna poprzedniego dnia, wylał lemoniadę na program, który kupiła wcześniej.

- Mamo, ja chcę cukrową watę - poprosił Lane, poprawiając swój kowbojski kapelusz.

- Potem będzie chciało ci się pić. - Wsadziła program pod pachę i uśmiechnęła się porozumiewawczo do Johna, który kroczył obok. - A po lemoniadzie będziesz musiał znów iść do łazienki.

- A co jest warte rodeo bez lemoniady i bez waty. - John zatrzymał się przed jednym z handlarzy, kupił watę i podał ją razem z resztą drobniaków uszczęśliwionemu Lane'owi.

- Dziękuję, John. - Lane spojrzał na Karę. - Obiecuję, że podczas rodeo nie będę chodził do łazienki.

- Świetnie. - Kara pokręciła głową i rozłożyła bezradnie ręce. - Czy moje zdanie zupełnie się nie liczy?

- Nie. - John mrugnął do Lane'a.

- Nie - powtórzył za nim chłopiec, wyciągając nogi, żeby dotrzymać kroku Johnowi. Starał się naśladować jego kołyszący chód. - Będziesz dziś ujeżdżać tego wielkiego byka, John?

- Postaram się, współniku.

- Ty jesteś najlepszym kowbojem na świecie, prawda?

Przysłuchując się ich rozmowie, Kara nie miała wątpliwości, że John jest cudownym ojcem. Zajmował się Lane'em tak, jakby znał go od urodzenia, a chłopiec

po prostu go uwielbiał. Czowała się winna, że poznali się dopiero tak niedawno.

W odświętym czarno-srebrnym stroju John Murdock prezentował się wspaniale. Wiele kobiet oglądało się za nim. Nosił pas czempiona, a na plecach miał numer startowy. Ale Karze najbardziej podobały się jego skórzane nakładki na ostrogi z napisem „Gwiazda M”. To był znak, że John zawsze o niej pamiętał, wsiadając na byka.

- Zaraz się skończy przerwa. - John przystanął przy rampie i spojrzał na Karę i na Lane'a. - Musicie wracać na miejsca.

Był zrelaksowany i pewny siebie. Przez cały dzień śmiał się i żartował, wspominając udaną jazdę z poprzedniego dnia. Obiecał im dobrą kolację, jeśli dziś zwycięży. Nie widać było, żeby się denerwował zawodami.

- Kiedy jest twój występ, John? - spytał Lane, zajadając się niebieską watą.

- Niedługo. - John poklepał go po plecach. - Pomachaj do mnie kapeluszem. Będę na was patrzeć.

Kara poczuła się jak tancerka na linie. Przez cały tydzień była zdenerwowana. Choć pierwsza runda wypadła dobrze, nie opuszczał jej niepokój.

- John - powiedziała, próbując opanować drzenie. Kowboje są przesadni. Nie chciała go denerwować, dlatego zmusiła się do uśmiechu. - Powodzenia. Kocham cię.

Był zaskoczony.

- Naprawdę?

- Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo.

Objął ją i mocno pocałował.

- To przestań się martwić. Wszystko będzie dobrze. - Potarł nosem o jej nos. - Za osiem sekund nagroda.

Osiem sekund. W filmie „Osiem sekund” kowboj zginął. Dlaczego o tym pomyślała?

Przytuliła się, wdychając jego słodki zapach. Żona kowboja musi być odważ-

na.

- Trzymaj się - szepnęła. Czekwała, aż zniknie za drzwiami, po czym wzięła Lane'a za rękę i poszli zająć miejsca.

John miał ochotę zagwizdać z radości. Kochała go! Teraz wszyscy się dowiedzą, że potrafi być dobrym mężem. Ich małżeństwo będzie doskonałe. Wiedział to, tak samo jak wiedział, że uda mu się jazda. Dziwił się, że Kara tak się bała. Wszystko przez te ponure wspomnienia. Wczoraj w hotelu nie mogła spać przez całą noc. A przecież nie ma powodu do obaw.

Szedł pewnym krokiem, gdy nagle jego but natrafił na przeszkodę. Spojrzał pod nogi. Papierowy kubek. Poczul się nieswojo. Dlaczego musiał kopnąć ten kubek? Nie był zbyt przesądny, ale kopnąć papierowy kubek przed jazdą, to najgorsze, co może spotkać kowboja.

Nagle miał ochotę pobiec do Kary, żeby jeszcze raz pocałowała go na szczęście. Do rozpoczęcia zostało trochę czasu. Przez chwilę wpatrywał się w kubek, po czym zawrócił, żeby odnaleźć żonę.

Szli zająć miejsca w pobliżu areny. Lane kroczył obok Kary, paplając wesoło. Była zadowolona, że dzięki temu może nie myśleć o zawodach.

- Mamo, muszę iść do łazienki.

- Lane! - krzyknęła zrozpaczona. - Obiecałeś, że wytrzymasz do końca rodeo. Podskakiwał do góry, grzechocząc lodem w pustym kubku.

- Ale już nie mogę!

Westchnęła, wzięła kubek i wyrzuciła go do śmieci. Ruszyli do najbliższej toalety. Czekala przed drzwiami, trzymając w ręku niezjedzoną watę i program, gdy jakiś człowiek wyszedł z toalety.

Jej najgorsze obawy się sprawdziły. Josh Riddley natychmiast zauważył ją i skierował się w jej stronę.

- No, proszę, kogo ja tu widzę! - Po głosie można było poznać, że nie jest całkiem trzeźwy. Gdyby Lane nie tkwił w łazience, uciekłyby natychmiast. Ale teraz

musiała zacisnąć zęby i stawić czoło byłemu mężowi.

- Zostaw mnie w spokoju, Josh.

- Mówiłem ci, że prędzej czy później cię dopadnę. - Zarzucił rękę na jej szyję i przyciągnął ją do siebie. - Chodź ze mną do przyczepy. - Wionęło od niego piwem i tytoniem.

Kara wzdrygnęła się i odskoczyła, modląc się w duchu, żeby Lane już wyszedł.

- Nie drażnij się ze mną, kobieto. - Josh przyparł ją do fontanny.

Usiłowała go odepchnąć.

- Zostaw mnie, zanim zacznę krzyczeć i zbiegną się tu wszyscy kowboje.

- Zawsze byłeś trochę narowista, prawda? Ale umiem sobie z tobą poradzić. -

Josh rzucił się na nią, zmuszając ją do pocałunku. Jego obślinione usta i odór piwa przyprawiły ją o mdłości. Szarpnęła się z odrazą, ale on był znacznie silniejszy. Lane nie mógł teraz jej zobaczyć. To biedne dziecko przeżyłoby szok. Gdy już była pewna, że za chwilę zwymiotuje, Josh puścił ją i z impetem poleciał na ścianę.

- Co, do diabła, robisz z moją żoną?!

John wyszedł zza rogu i zobaczył, że Kara walczy z jakimś ściskającym ją kowbojem. Krew zaszumiała mu w głowie i zrobiło mu się ciemno przed oczami. Jedną ręką złapał napastnika za kołnierz, a drugą wymierzył mu potężny cios prosto w policzek.

- Twoją żoną? - Oczy pijaka były okrągłe ze zdziwienia. Potem zaśmiał się szyderczo i zatoczył się na ścianę. - A to dopiero! Ona jest też moją żoną.

John spojrzał na Karę. Cukrowa wata Lane'a leżała u jej stóp. Kara trzęsła się, a jej dolna warga była spuchnięta. Natychmiast domyślił się prawdy.

- A więc to ty jesteś Riddley - powiedział z niesmakiem John.

- No, ja. A bo co?

John ponownie chwycił go za kołnierz, patrząc z zadowoleniem, jak twarz pijaka robi się czerwona.

- Lubisz bić kobiety. Zaraz zobaczymy, jak poradzisz sobie z facetem.

Kara podskoczyła do niego.

- Nie, John. On nie jest tego wart. Chodźmy stąd. - Pociągnęła go za ramię. - Idź do łazienki i poszukaj Lane'a. Za długo tam już siedzi.

John spojrział na nią, ale się nie ruszył. Jej drżący głos wystarczył, żeby miał ochotę porządnie przyłożyć Riddleyowi.

- Ten typ ma cię przeprosić, a jeśli nie, to wybiję mu wszystkie zęby.

- Ona dużo mi zawdzięcza - parsknął Riddley. - Nie każdy zgodziłby się przygarnąć cudzego bachora.

John osłupiał.

- O czym ty mówisz?

- O jej synu. Nie chciała, żeby ludzie wiedzieli, że on jest bękartem. Zgodziłem się udawać, że to mój bachor.

John poczuł, jak pulsuje mu w skroniach.

- On nie jest twoim synem?

- Nie powiedziała ci? - Riddley wybuchnął gromkim śmiechem. - A to niespodzianka! Nie wiem, czyj to bękart, ale na pewno nie mój.

John opuścił ręce. Nie był przygotowany na taki cios. Ten typ twierdzi, że nie jest ojcem Lane'a? A więc kto? Kara wkrótce po jego wyjeździe wyszła za Riddleya.

Nagle zimny pot wystąpił mu na czoło. Lane, z oczami jak czarne diamenty i łobuzerskim uśmiechem. Czarne oczy, podobne do jego własnych.

- O Boże! Boże! - Jakby dostał pięścią między oczy.

Dlaczego nie zauważył tego wcześniej? Jego oczy, chód, gesty. Tak jakby się widział w lustrze. Lane był jego synem... A Kara to przed nim zataiła.

Próbował się opanować, ale żal i wściekłość zalały go potężną falą. Chętnie by się na kimś wyładował, a Riddley był pod ręką. Nazwał Lane'a bękartem. Za to powinno się go zabić.

Krew uderzyła mu do głowy. Jeśli szybko stąd nie pójdzie, to może zrobić coś głupiego. Odczekał chwilę, zmrużył oczy i... zrobił coś głupiego. Riddley osunął się jak kłoda na ziemię. Lane w tym momencie wyszedł z toalety.

- Mamo, wpadł mi pieniążek do ubikacji.

Kara szybko przytuliła do siebie synka, żeby nic nie widział. Wokół nich zebrała się grupa ludzi. Słysząc było pomruki zdziwienia i szepty.

Jakiś kowboj przedarł się przez tłum i chwycił Johna za ramię.

- Hej, Murdock, teraz twoja kolej. - Zauważył leżącego na ziemi mężczyznę. - Co się tu dzieje?

John spojrzał na niego.

- Już idę, Jessie.

- Ten wariat o mało mi nie złamał szczęki - poskarżył się Riddley, ścierając krew sączącą się z ust.

- Znam od dawna tego chłopaka i zawsze był spokojny - powiedział Jessie, zaciskając pięści. - Jeśli go wkurzyłeś, to lepiej stąd znikaj, bo możesz oberwać od nas wszystkich.

Riddley podniósł się i powlókł w stronę wyjścia. John nie zwracał już na niego uwagi. Wpatrywał się w Karę. Była blada jak ściana. Spojrzał jej w oczy, nic nie rozumiejąc.

- Później wszystko mi wyjaśnisz - rzucił do niej.

Odwrócił się i poszedł za Jessiem. Był tak wściekły, że miał ochotę kogoś zamordować.

Lane był jego synem i pięć lat wychowywał się bez ojca. Pięć lat! Kara oszukała go i zmusiła, by porzucił własne dziecko, tak jak kiedyś zrobił to jego ojciec. Przysięgał sobie, że nigdy tak nie postąpi. Czy chciała go ukarać, nie mówiąc mu o synu? Dlaczego nie wyznała mu prawdy, kiedy się pobrali? Wiedziała, że ma bzika na punkcie Lane'a. Było mnóstwo okazji do szczerzej rozmowy. Kiedyś zwierzył jej się, że marzy o takim synu. Z prawdziwym okrucieństwem ukryła przed nim praw-

dę.

Wielki czerwony byk z rogami prawie na pół metra miotał się po wybiegu. Dwaj kowboje przy barierce próbowali go okiełznać. Mimo szoku, który przeżył, John musiał teraz wziąć się w garść. Zaczekał, aż zwierzę się trochę uspokoi, wskoczył na potężny grzbiet i zaczął wiązać. Zwykle robił proste wiązanie, ale dzisiaj nie przejmował się niczym. Może przypłaci to życiem, ale pokaże Karze, co potrafi. Uniósł dłoń do góry i zaciskał arkan coraz mocniej na skórzanej rękawicy.

Myślał o tym, że Kara oszukała go w najpodlejszy z możliwych sposobów. Przez pięć lat ukrywała przed nim syna.

Przez megafony słyszał, jak go zapowiadają. „Numer siedem, świetny kowboj z Teksasu, którego nie oglądaliśmy ostatnio, John Murdock. Wczoraj dał niezły pokaz, z wynikiem osiemdziesiąt dwa. Dzisiaj jedzie na Rowdym, byku, który w tym roku startował tylko raz”.

John przestał słuchać i próbował się skoncentrować. Kto nie potrafi się skoncentrować, może szybko zginąć.

- Jesteś gotowy, kowboju? - spytał ktoś z boku.

Z bijącym sercem i wciąż wściekły, John ścisnął nogami byka i pochylił głowę. Bramka otworzyła się i wyjechał na arenę.

Kara zacisnęła ręce na oparciu krzesła i modliła się żarliwie. Wściekły byk wypadł z bramki numer siedem, wierzgając jak szalony.

Serce biło jej mocno z poczucia winy i ze strachu. Jeśli coś się stanie Johnowi, to ona nigdy sobie tego nie wybaczy.

Nie widziała tłumu wokół siebie. Ludzie krzyczeli, zrywali się z miejsc, ale ona tego nie dostrzegała. Patrzyła tylko na szalejącego byka i mężczyznę, który na nim siedział. Rowdy był groźnym przeciwnikiem. Zarzucał zadem na boki i podskakiwał wysoko w górę.

Niewielu kowbojom udaje się utrzymać na byku, kiedy zwierzę zmienia kierunek. Z jedną ręką przywiązaną do byka, John potrafił utrzymać równowagę.

Gdyby teraz spadł, znalazłby się wprost pod kończynami gigantycznego zwierzęcia.

Gdy zadzwonił dzwonek, tłum zaczął wiwatować głośno.

- Fenomenalna jazda Johna Murdocka - oznajmił konferansjer.

Kara zamknęła oczy i wbiła się w siedzenie, trzęsąc się z emocji. Był bezpieczny, dzięki Bogu był bezpieczny.

- Mamo, John nie może zsiąść.

Słowa syna przeszły ją jak strzała. Zerwała się na równe nogi, bojąc się, że postrada zmysły. John był przyczepiony do byka. To najgorsze, co może spotkać kowboja. Zwykle, kiedy kowboj zsiada, lina sama się rozwiązuje. Tym razem lina zaplątała się, uwięziwszy rękę Johna, podczas gdy reszta ciała zwisała bezwładnie z boku.

Rozwścieczony byk miotał się i skakał, mierząc potężnymi rogami w zwisającego jeźdźca. Jeden celny cios mógłby uszkodzić czaszkę lub przedziurawić płuco. Przyczepiony za jedno ramię John zwisał jak szmaciana lalka, zdany na łaskę byka i dwóch kowbojskich klaunów, którzy widząc, co się święci, przystąpili do działania. Nawet gdyby udało im się go wyswobodzić, i tak mógł spaść pod kopyta rozwścieczonego zwierzęcia.

W pierwszej chwili Kara chciała wbiec na arenę i gołymi rękami walczyć z bykiem. Ruszyła w stronę przejścia, gdy Lane przerażonym głosem zawołał do niej:

- Mamo, John jest ranny, John jest ranny!

Nie mogła okazać Lane'owi swej słabości. Ręce trzęsły się jej i zaschło jej w gardle, ale wciągnęła syna na kolana i usiadła.

Jeden z klaunów odważnie chwycił byka za rogi, odwracając jego uwagę od jeźdźca. Drugi wskoczył na grzbiet zwierzęcia, szarpiąc się z liną, która uwięziła Johna. Gdy lina rozplątała się, John potoczył się na ziemię... i leżał bez ruchu. Dwaj kowboje pobiegli mu na pomoc, podczas gdy inni spędzili byka z areny.

- Dlaczego John nie wstaje, mamó? - Lane był przerażony tak samo jak Kara.

- Wstanie, wstanie. - Zaczęła się modlić, by Bóg dał jej szansę naprawić wyrażoną Johnowi krzywdę.

Kiedy dwaj kowboje przyklękli przy Johnie, a grupa innych zaczęła zbiegać na arenę, John poruszył się i z wysiłkiem podniósł się do góry. Koledzy pomogli mu stanąć na nogach. Był oszołomiony i chwiał się, a z ust i nosa leciała mu krew. Ktoś podał mu kapelusz i przez megafon ogłoszono jego wynik.

- Panie i panowie, oto zwycięzca. Osiemdziesiąt pięć punktów za wspaniałą jazdę twardego kowboja Johna Murdocka.

John uwolnił się od podtrzymujących go rąk. Prawą rękę miał opuszczoną znacznie niżej niż lewą. Uniósł kapelusz i pomachał do rozentuzjasmowanego tłumu. Bardzo powoli odwrócił się twarzą w stronę sektora, gdzie siedzieli Kara i Lane. Przez długą chwilę wpatrywał się w Karę, po czym przeniósł wzrok na Lane'a. Później włożył kapelusz na głowę i zszedł z areny.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

John wiedział, że droga do domu będzie ciężka. Ramię bolało go jak diabli, a serce jeszcze bardziej. Kara wyglądała tak, jakby koń kopnął ją w żołądek. Lane siedział między nimi. Jego syn. Myśl, że Lane jest jego synem, wywoływała w nim burzę uczuć, z którymi nie umiał sobie poradzić. Lane był jego dzieckiem. Gdyby nie zdumienie i ból z powodu kłamstwa Kary, skakałby do góry z radości.

- Czy nie powinniśmy pojechać do szpitala, żeby lekarz obejrzał twoje ramię?

- spytała nieśmiało Kara.

W świetle ulicznych lamp jej twarz była bardzo blada. Ale wcale jej nie współczuł. Nie chciał nawet z nią rozmawiać. Nie przy dziecku. Czuł tak ogromny ból i złość, że mógłby powiedzieć coś, czego potem by żałował.

Lewą ręką zmienił biegi i wolno wyjechał z parkingu. Kara westchnęła ciężko i spojrzała przez okno na amfiteatr.

Lane położył rączkę na ramieniu Johna.

- Pomasować ci ramię? - spytał, wpatrując się w niego czarnymi jak węgiel oczami.

Wzruszony John spojrzał na drobną rączkę syna. Ile stracił przez to, że Kara zataiła przed nim prawdę?

- Nie trzeba, współniku - odpowiedział z uśmiechem. - Lekarz już nastawił mi ramię. Trochę poboli i przestanie. - Nie chciał, żeby chłopiec się martwił.

- Czy to ty wygrałeś rodeo?

John zaśmiał się krótko. Ta wygrana nie była teraz taka ważna, jak jeszcze parę godzin temu.

- Dzisiaj zająłem pierwsze miejsce, a w ogólnej klasyfikacji drugie.

Lane poruszył się niespokojnie.

- Czy to jest dobry wynik?

- Niezła dniówka. - Wystarczyłoby, żeby zrobić wszystko, co zaplanowali z

Karą. Tylko że teraz nie myślał o kupowaniu byków i budowaniu zagród. Nie miał głowy do niczego, a już najmniej do rancza, które kiedyś chciał prowadzić wspólnie z Karą.

- Czy wystarczyłoby na nowe siodło dla mnie?

- Lane! - skarciła go Kara. - Nieładnie tak naciągać ludzi.

John zeszywniał i poczuł gniew. On nie był dla Lane'a byle kim. Był jego ojcem. Znał już prawdę, a skoro tak, to Kara zachowywała się niewłaściwie.

- Możesz prosić mnie o wszystko, współniku - wymamrotał przez zaciśnięte zęby. - Zawsze i o wszystko.

Kątem oka dostrzegł, że Kara skrzyżowała ręce na piersi i wcisnęła się w kąć ciężarówki. Niech się martwi. To ona jest wszystkiemu winna.

Lane zerknął na matkę. Ponieważ się nie odzywała, powiedział odważnie:

- Siodło z „Gwiazdą M” wyglądałoby pięknie na moim koniu.

John uśmiechnął się. Lane za wszelką cenę chciał zostać prawdziwym kowbojem. Nie musiałby tak się starać, gdyby znał od urodzenia swego ojca.

- Pomyślę o tym, Lane.

Chłopiec westchnął z ulgą, wyraźnie zadowolony z odpowiedzi. Spojrzał na swoje kowbojskie buty i wyznał:

- Bałem się o ciebie. Nie zależało mi na tym, żebyś wygrał, tylko żeby nic ci się nie stało.

John żałował, że Lane musiał oglądać taki widok, zbyt przerażający dla pięciolatka. Objął Lane'a bolącym ramieniem.

- Ja też się bałem - przyznał.

On przynajmniej był uczciwy, nie tak jak Kara.

- Naprawdę?

- Byk to niebezpieczne zwierzę. Każdy, kto powie, że się go nie boi, skłamię.

- Mama też się bała. Zaczęła płakać.

John oderwał wzrok od autostrady i zerknął na Karę. Wpatrywała się w prze-

jeżdżające samochody, jakby od tego zależało jej życie. Wyglądała smutno, jak porzucony szczeniak. Miał ochotę powiedzieć jej, żeby tak się nie martwiła. Ale nie rozumiał, dlaczego kłamstwami oddzieliła go od syna.

- A ty płakałeś? - Spojrzał na zmartwioną buzię dziecka.

- Dziadek mówił, że duzi chłopcy nie płaczą.

- Twój dziadek jest bardzo mądry, ale w tej sprawie się myli.

- Nie będziesz myślał, że jestem beksa, kiedy uderzę się i będę płakać?

- Nie, synu. - To słowo wyrwało mu się samo. - Czasem chłopcy też muszą sobie popłakać. Może nie przy wszystkich, ale trzeba wyrzucić z siebie ból.

- A ty płakałeś, kiedy byk cię ciągnął?

- Nie. Wtedy nie. Za wszelką cenę chciałem się uwolnić.

- Ale bolało, tak?

- Tak. - Spojrzał na Karę. - Bardzo bolało. - Nie mógł powiedzieć dziecku, że są rzeczy, które sprawiają większy ból.

- A czasem płaczesz?

- Tak. - Teraz miał ochotę płakać i jeśli nie zaczyna rozmawiać o czymś innym, to rzeczywiście zaraz się rozklei. Chorą ręką włączył radio. Z głośnika popłynęła muzyka country. Może te rzewne piosenki ukoją jego ból.

Kara stała w drzwiach sypialni. Wiedziała, że John jest wściekły. Przez całą drogę do domu nie chciał z nią rozmawiać. Nie uśmiechał się. Mąż, który wcześniej ją uwielbiał, wyglądał teraz jak chmura gradowa. Nawet gorzej. Tak, jakby zabiła jego najlepszego przyjaciela. Widziała, że jest zdruzgotany... i bardzo zły.

Wyjął z kieszeni kopertę z wygraną i położył na toaletce. Westchnął, spojrzał na Karę lodowatym wzrokiem i ruchem głowy nakazał jej, by weszła. Zamknął drzwi od sypialni.

- Kiedy miałaś zamiar mi powiedzieć? - Z jego głosu przebijała złość.

Bała się, że nie potrafi mu wyjaśnić.

- Chciałam ci powiedzieć. - Nieśmiało położyła rękę na jego piersi.

Cofnął się, i jej dłoń opadła.

- To dlaczego tego nie zrobiłaś? Po co ta gra? - Zaśmiał się szyderczo. - Przecież ci powiedziałem, jak bardzo chciałbym mieć takiego syna, a ty nadal kłamałaś.

- Nigdy nie kłamałam. - Nagle zrobiło jej się zimno.

- Pięć lat, Kara. - Wyciągnął w jej kierunku palec. - Od pięciu lat jestem ojcem, a ty nie raczyłaś mi o tym powiedzieć.

Nogi ugięły się pod nią. Usiadła na łóżku i żal ścisnął ją za gardło.

- Bałam się.

- Kogo? - Rozłożył z niedowierzaniem ręce. - Mnie?

- Nie. Tak. - Nigdy nie bała się, że John może jej zrobić krzywdę. To było niemożliwe. Ale bała się, i słusznie, że przestanie ją kochać. - Przypomnij sobie, John. Zostawiłeś mnie. Wszyscy mówili, że wyjechałeś z Shannon Sullivan.

- A ty im wierzyłaś. Uważałaś, że jestem taki jak mój ojciec.

- Porzuciłeś mnie - zawołała z rozpaczą. - Myślałam, że nie chcesz już być ze mną.

Odwrócił się do okna i oparł się rękami o framugę.

- Dzwoniłem. Dlaczego wtedy mi nie powiedziałaś?

- Bo myślałam, że dzwonisz tylko po to, żeby się pozbyć wyrzutów sumienia.

Odwrócił się do niej z zaciśniętą szczęką.

- To bzdury i dobrze o tym wiesz.

- Wtedy nie wiedziałam. Moja mama zmarła zaledwie sześć miesięcy wcześniej. Byłam przerażona, że jestem w ciąży. - Wstała i podeszła do niego. - Gdyby ojciec dowiedział się, że tak bardzo go zawiodłam, po prostu by tego nie przeżył.

- Źle oceniasz ojca - wybuchnął. - Bałaś się, że cię wydziedziczy?

- Wiesz, jaki on jest dumny. Nie mógłby spojrzeć ludziom w oczy. Uważał, że jestem chodzącym ideałem i chciał, żeby wszyscy w to wierzyli. Nie mogłam pozwolić, by poznał prawdę.

- Nie ty pierwsza urodziłabyś nieślubne dziecko.

- Ale ja nazywam się Taylor.

Odchylił do tyłu głowę i westchnął z rozpaczą.

- Ta wasza okropna duma. Wcale nie martwiłaś się o ojca. Martwiłaś się o siebie. Królowa rodeo, świetna uczennica i wzorowa córka. - Potrząsnął głową, masując obolałe ramię. - Coś ci powiem, Kara. Ta duma kosztowała cię więcej, niż straciłabyś, wyznając prawdę.

Poczuła w skroniach tępy ból. Czy to możliwe, żeby John miał rację? Czy naprawdę źle oceniła ojca i zataiła prawdę przed swoim obecnym mężem tylko po to, żeby podtrzymać swój fałszywy wizerunek? Czy była aż tak bezmyślna? Tak okrutna? Ból promieniował na jej oczy. Zacisnęła je i zakryła twarz rękami.

- Pomyśl o tym, Kara. Gdybyś od razu powiedziała mi prawdę, natychmiast wróciłbym do domu. Ty i twój syn nie musielibyście nigdy cierpieć przez Josha Riddleya. To ranczo nie byłoby zrujnowane, bo Pete miałby chęć nadal się nim zajmować. I - zawiesił głos, czekając, aż na niego spojrzy - nie straciłabyś drugiego męża...

Te słowa ugodziły ją prosto w serce. Zrobiła ruch w jego stronę.

- John, proszę cię... - Była gotowa go błagać.

Wyciągnęła rękę. John cofnął się, jej dłoń zawisała w powietrzu.

Żył pulsowała nad jego lewym okiem. Potrząsnął głową. Na jego twarzy malował się ból. Skrzywdziła go. Ich oboje.

- Najważniejsze jest zaufanie, Karo. Bez tego małżeństwo nic nie jest warte. Nasz związek oparty jest na kłamstwie. Nie chcę tego. Nie mogę tak żyć.

- Nie powiedziałam ci tylko o Lanie. Cała reszta jest prawdą.

- Jak mogę ci wierzyć?

- Kocham cię. Chyba w to wierzysz?

- Kochasz mnie i pozwoliłaś, żebym starał się o adopcję własnego syna? -

Pokręcił ze smutkiem głową. - Rozpacz wypełniała mu serce. - Inaczej pojmuję miłość.

- Uwierz mi, John. Nie chciałam, żeby tak się stało.

- Ja też nie, ale nie pytałaś mnie o zdanie. - Wziął kapelusz z łóżka i przyglądał mu się z wyrazem bólu na twarzy. - Czy bardziej zależy ci na ranczu, czy na Lane?

Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Jak on może o to pytać? Za wszelką cenę chciałby się jej pozbyć. Nienawidzi jej, tak jak się tego obawiała. Jej wyśnione małżeństwo się skończyło. Wszystko dlatego, że nie miała odwagi powiedzieć Johnowi prawdy. Mróz przeszedł jej po plecach. Miała wszystko i sama to zniszczyła.

- Znasz odpowiedź. Rano ja i Lane wyjedziemy - odparła cicho.

Westchnął ciężko.

- O Boże, jakie to jest straszne. Kocham go i chcę z nim być. On też mnie potrzebuje.

Nadzieja wypełniła jej serce.

- Obiecuję ci, że już nic przed tobą nie zataję.

- Chciałbym w to wierzyć... Chciałbym, ale nie mogę.

To był koniec. Naprawdę koniec. To ona zniszczyła tę miłość. Nie chciała wpaść w histerię, lecz ledwie się powstrzymywała. Powinna zachować przynajmniej resztki dumy. Otarła spoconą twarz, walcząc ze łzami, które cisnęły się jej do oczu. Z wielkim wysiłkiem zdobyła się na szlachetny odruch.

- Ty i Lane musicie się spotykać. Będę przywozić go do ciebie jak najczęściej.

- Dobrze.

Z gorzkim uśmiechem otworzył drzwi i zniknął z jej życia po raz drugi. Tym razem na zawsze.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

John siedział na ganku, spoglądając na zachmurzone niebo. Nigdy w życiu nie czuł się tak samotny. Wszystko wokół przypominało mu, co kiedyś miał i co utracił. Kara wyjechała razem z jego synem. Te cztery dni były jak wieczność. Świeżo pomalowana stodoła, małe, fioletowe kwiatki, które zasadziła z tyłu domu, nawet owocowy zapach w łazience - wszystko przypominało mu o Karze. Z westchnieniem ukrył głowę w dłoniach i myślał o tym, jak jego życie w mgnieniu oka rozpadło się na kawałki.

Kłamstwa, pomyślał ponuro. Same kłamstwa.

Kara okłamała go w najważniejszej sprawie.

Nagle usłyszał czyjeś kroki na trawie. Spojrzał w górę i zobaczył, że Pete idzie do niego przez podwórko.

- Wiedziałem, że cię tu znajdę.

- Dom jest taki pusty.

- Tak. W takim wielkim domu powinna mieszkać cała rodzina. - Przenosząc ciężar ciała na zdrową nogę, Pete oparł się o ganek.

- Kara zniszczyła wszystko.

- Dowiedziałeś się o małym?

John spojrzał ze zdziwieniem na twarz Pete'a oświetloną blaskiem padającym z kuchni. Kara tak starała się, żeby ojciec żył w nieświadomości.

- A skąd ty o tym wiesz?

- Domyśliłem się. Znam moją Karę. Za bardzo cię kochała, żeby mieć dziecko z innym mężczyzną. A kiedy zobaczyłem ciebie z tym chłopcem... - Poklepał się po kieszeni, sprawdzając, czy ma przy sobie tytoń. - Tylko ślepy by nie zauważył, że Lane jest twoim synem.

John dostrzegł ironię w jego słowach. Pete to zauważył. Czyżby naprawdę tylko on był ślepy?

- Dlaczego nic nie powiedziałeś?

Pete przyglądał się okrągłej puszcze, postukując nią o dłoń.

- Pomyślałem, że Kara ma powody, żeby zachować to w sekrecie, i wiedziałem, że wpadniesz w złość, gdy się o tym dowiesz. Nie mam do ciebie pretensji, ale myślałem, że dogadacie się jakoś.

Nagle wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Ranczo było zrujnowane i John był tu potrzebny. Pete chciał, żeby Kara wróciła do domu, ale był zbyt dumny, by ją o to poprosić. Wiedział o uczuciu, które ich łączyło, i domyślał się, kto jest ojcem Lane'a.

- Dobrze wiedziałeś, że Kara nie będzie beczynnym patrzeć, jak zabieram ranczo. Specjalnie to wszystko ukartowałeś, prawda?

Na twarzy Pete'a pojawił się lekki uśmiech. Pete otworzył puszkę, w powietrzu uniósł się zapach tytoniu.

- Wszystko dobrze się układało, co?

- Ale się rozpadło. - John wyrwał kilka chwastów rosnących obok schodów.

- Można to naprawić.

- Ona mnie okłamała, Pete - powiedział z goryczą. Pogładził ręką trawę. - Ukryła przede mną, że mam syna.

Pete w zamyśleniu włożył szczyptę tytoniu za dolną wargę, zamknął puszkę i schował ją do kieszeni koszuli.

- Nie pochwalam tego, co zrobiła, ale każdy kij ma dwa końce. Nie rozumiesz, że była przerażona, kiedy wyjechałeś?

- Przecież wróciłbym do niej.

- Może nie była tego pewna, zwłaszcza że pół miasta mówiło jej, że wdałeś się w ojca i nigdy cię już nie zobaczy.

John poczuł się urażony.

- To nie moja wina, że miałem takiego ojca.

- Wiem. Ale kiedy córka Sullivana przyjechała do miasta i rozpowiadała o

was dwojgu takie rzeczy, jakich nie powiedziałyby żadna uczciwa kobieta, znalazłeś się na ustach wszystkich plotkarzy w mieście.

- Przysięgam, że nigdy nie miałem z Shannon nic wspólnego.

- Wiem, chłopcze. Myślisz, że chciałbym cię za zięcia, gdybym wierzył choć w część tych plotek? Sęk w tym, że Kara w nie wierzyła. Była z tobą w ciąży, a ty zniknąłeś. Jej matka zmarła. Na dodatek była śmiertelnie przerażona, że ja się o wszystkim dowiem.

John przypomniał sobie dzień, w którym wyjeżdżał z miasta. Kara płakała, a on odjechał, zostawiając ją w tumanie kurzu. Kochał ją, ale był młody i myślał o sobie. Wydawało mu się, że jego ukochana będzie czekać, dopóki on nie wróci. Ale czasami życie toczy się inaczej, niż to zaplanowaliśmy.

- Chcę ci coś powiedzieć, chłopcze. - Pete uniósł twarz ku niebu. - Życie jest ulotną chwilą, jak mówi Wielka Księga. Każda minuta spędzona na kłótni z tymi, których kochasz, jest minutą, której będziesz żałować do końca życia.

Te słowa zaciążyły Johnowi jak kamień. Przez sześć lat Kara nie miała powodu sądzić, że kochał ją na tyle, by zaopiekować się ich dzieckiem. Sześć długich, zmarnowanych lat. To była również jego wina. Nawet po powrocie stać go było tylko na ukartowane małżeństwo.

Teraz z całego serca pragnął zostać, ale tylko z Karą u boku. Przez całe życie starał się nie powtórzyć błędów ojca. Chciał opiekować się swoimi dziećmi, dać im miłość i poczucie bezpieczeństwa, jakich sam nie zaznał. Ale dziś jego syn - i kobieta, którą kochał - byli w Oklahomie. On zaś siedział w Teksasie, a życie przeciekało mu przez palce.

Żałując w duchu, że zmarnował swoją ostatnią szansę, wstał i schwycił Pete'a za ramię.

- Myślisz, że będzie jeszcze mnie chciała?

- Mądry mężczyzna powinien sam to sprawdzić.

Po tym wszystkim, co jej powiedział, Kara może nie chcieć nawet z nim roz-

mawiać, ale jeśli była choćby jedna szansa na milion, musiał zaryzykować. Nie ważne, co trzeba będzie zrobić. Pete miał rację, że zmarnowali już za dużo cennego czasu. Z bijącym sercem wszedł do ciężarówki.

Kara nie mogła zasnąć. Gdy tylko zamykała oczy, twarz Johna, pełna niedowierzania i urazy, stawała jej przed oczami. Duma nie mogła nic jej pomóc, gdy sercem i ciałem pragnęła być ze swoim ukochanym.

Zmęczona przewracaniem się z boku na bok, odrzuciła prześcieradło. Ostrożnie, by nie zbudzić Marietty i Lane'a, wzięła oranżadę i pudełko herbatników i usiadła przed domem. Betonowy chodnik parzył ją w bose stopy. Lampy oświetlały cały teren aż do parkingu. Było późno, ale nawet w tej rezydencjonalnej części miasta nie było cicho i spokojnie. Szum samochodów z wydobywającą się z nich głośną muzyką, śmiech wibrujący w gorącym i dusznym powietrzu. Z oddali dobiegał ryk syren.

Westchnęła i wypila łyk oranżady, myśląc o ranczu i swoich bliskich, za którymi tak tęskniła. Niełatwo było żyć z taką pustką w sercu.

- Przepraszam, Murdock - wyszeptała. - Bardzo żałuję, że nie byłam z tobą uczciwa od początku. Tak bym chciała...

A może jej marzenie się spełni?

Spojrzała w niebo, pragnąc ze wszystkich sił, żeby gwiazdy jej pomogły. Ale ku jej rozczarowaniu zamiast gwiazd zobaczyła reflektory i czerwone punkciki przelatujących samolotów.

Nawet gwiazdy ją opuściły.

Jakiś samochód skręcił na parking, oświetlając przód budynku. Kara skrzywiła się, czekając, aż wyłączy światła. Nic z tego.

Czy ten idiota nie wie, że ludzie chcą spać? Wstała i wzięła swoje rzeczy, zamierzając wrócić do środka. Światła samochodu skierowane były prosto na nią. Poczowała strach i ruszyła w kierunku drzwi. Gdy dotknęła ręką klamki, światła zga-

sły i usłyszała, że ktoś zamyka samochód. Zdenerwowana obejrzała się za siebie. Dreszcz przeszedł jej po plecach. Znajoma sylwetka majaczyła w mroku.

- Kara. - Usłyszała cichy głos, w którym tlił się płomień. John.

Wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana.

Co on tu robi? Iskierka nadziei zamigotała w jej sercu, ale zaraz zgasła. Poczula strach. Może przywiózł dokumenty rozwodowe? Albo, co gorsza, chce się starać o opiekę nad synem? Zadrzała, upuszczając na ziemię oranżadę i krakersy.

- Nie śpisz jeszcze? - spytał miękkiem barytonem. Wionęło od niego chłodem z klimatyzowanego samochodu. - Czy wszyscy mają się dobrze?

- Świetnie. - Chwyliła za żelazną poręcz. Jak to głupio mówić „świetnie”, gdy ona umiera z rozpacz.

- Czy możemy porozmawiać? - Dotknął jej ramienia.

Znajomy ból przeszył jej ciało niczym sztylet. Czy kiedykolwiek przestanie kochać Johna?

Z wyschniętym gardłem odsunęła się w obawie, że padnie przed nim na kolana, błagając o przebaczenie. Zrobiłaby to, gdyby była pewna rezultatu, ale John powiedział wyraźnie, że nie może jej wybaczyć.

- Jechałeś taki kawał, żeby porozmawiać?

- To ważne.

- Dobrze. - Wskazała ręką chodnik. - Siadaj.

Nie posłuchał jej, tylko wyciągnął z kieszeni papier.

- Mam coś dla ciebie.

- Co to jest? - Uniosła do światła złożony na czworo dokument, ale nie mogła nic odczytać.

- Akt własności rancza

- Akt własności? - Poczula bicie serca. - Dlaczego mi to dajesz? - Nagle straszna myśl przemknęła jej przez głowę. Kiedyś spytał, czy bardziej jej zależy na ranczu, czy na Lanie. Skoczyła na niego jak tygrysyca. - Nie możesz mi zabrać

Lane'a!

- Nie mam zamiaru - odpowiedział z irytacją. - Dokument został podpisany przez notariusza. Musisz tylko złożyć to w sądzie i ranczo będzie należeć do ciebie i do Lane'a. - Zdjął kapelusz, chwilę wpatrywał się w niego i westchnął ciężko. - To ranczo nic dla mnie nie znaczy.

- Nic? - Te słowa ugodziły ją prosto w serce. Ranczo nic dla niego nie znaczy, tak samo jak ona. - Rozumiem.

- Chyba nie. - Ujął jej brodę i musiała spojrzeć mu prosto w oczy. Jego wzrok świdrował ją na wylot. - Czy wiesz, jak się bałem, że skończę tak jak mój ojciec? Będę się wiecznie tułać bez rodziny i bez domu? Potem dzięki tobie i Lane'owi uwierzyłem, że mogę uratować to podupadłe ranczo. Chciałem to zrobić dla was.

Z zakłopotaniem zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem. Przecież powiedziałeś, że ranczo nic dla ciebie nie znaczy.

- Bo teraz tak jest. - Jego ręka drżała. - Gdy dowiedziałem się, że Lane jest moim synem, przeżyłem szok. Cały czas myślałem o tym, ile lat wychowywał się beze mnie. Czulem się oszukany. Ale kiedy przeszła mi złość, musiałem pogodzić się z faktem, że niestety przypominam ojca. Powinienem pozwolić ci wyjaśnić, dlaczego zachowałeś to w sekrecie. Nie chciałem zrozumieć, jak bardzo byłaś przerażona i samotna. Zawiodłem cię po raz drugi. Dlatego ranczo nic dla mnie nie znaczy - bez ciebie i bez Lane'a.

Żal w jego głosie rozdzierał jej serce. Może jednak uda się coś uratować?

- Nie, John. To ja cię zawiodłam, bo myślałam, że jesteś taki sam jak twój ojciec. W twoich żyłach płynie jego krew, ale jesteś inny. Wzięłeś ranczo, żeby pomóc mojemu ojcu. Dbaleś o Lane'a i kochałeś go, jeszcze zanim dowiedziałeś się, że jest twoim synem. Sam Murdock nigdy by się tak nie zachował. Gdybym nie była taką egoistką, zauważyłabym to wcześniej. Jesteś dobrym człowiekiem i cudownym ojcem. Lane bardzo za tobą tęskni.

John zrobił krok w jej stronę. Jego czarne oczy błyszczały w mroku.

- A jego mama?

Nagle zapomniała o fałszywej dumie.

- Źle się stało, że mój strach i duma rozdzieliły was. Popeniłam wiele błędów, John, ale to, że cię kochałam, na pewno nie było błędem. Gdybym mogła zacząć wszystko od początku, nie pozwoliłabym, żeby to się tak skończyło.

John jednym susem znalazł się przy niej.

- Naprawdę tak myślisz? Czy chcesz zacząć wszystko od początku? Dasz mi jeszcze jedną szansę?

- Tak. Och, tak. - Łzy szczęścia zakreśliły się jej w oczach. - Wybacz mi.

Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. Już zawsze będę z tobą szczerą. Tak mi przykro...

John westchnął ze szczęścia. Bardzo delikatnie pogłaskał ją po twarzy.

- Kocham cię, najdroższa - wyszeptał, wtulając twarz w jej włosy. - Zawsze cię kochałem.

- Ja też cię kocham. - Objęła go i przytuliła się. Ciężar spadł jej z serca. - Tak czekałam na tę chwilę. Marzyłam o tym, żeby móc naprawić wyrządzoną ci krzywdę. Ale dziś wieczorem, kiedy szukałam naszej gwiazdy, nie znalazłam jej. Wydawało mi się, że razem z nią znikło nasze szczęście.

- Nie, kochanie. - Uśmiechnął się tak słodko, że zabiło jej mocniej serce. - Nasza gwiazda, tak jak nasza miłość, jest z nami. Tylko na chwilę przesłoniły ją chmury. - Przytulił ją i pocałował delikatnie w usta. - Chodźmy obudzić naszego synka, pani Murdock. Zabierzemy go do domu.

- Tak - odpowiedziała ze łzami w oczach. - Do naszego domu pod gwiazdami.

EPILOG

Na widok Kary John wstrzymał oddech. Jej jasny koński ogon podskakiwał rytmicznie, gdy szła dziarskim krokiem przez stodołę. Nadal pożądał jej tak samo jak wtedy, gdy rok temu przyjechali zamieszkać tu na zawsze. Szybko rozsiadł konia i klepnął go po zadzie. Życie z Karą było bardziej fascynujące niż przejażdżka na najgroźniejszym byku.

- Murdock!

Uśmiechnął się. Był ciekawy, dlaczego jest tak wzburzona. Oparł się o płot i z zadowoleniem patrzył, jak Kara się do niego zbliża. Zapadał zmierzch, ale John dojrzał groźne błyski w oczach żony.

- Znów to zrobiłeś, Murdock! - Zatrzymała się o krok od niego i wycelowała palec w jego pierś.

Złapał ją za rękę i ucałował.

- O co chodzi tym razem?

- Nie udawaj niewiniątka, skarbie. Dobrze wiesz, o czym mówię. - Z jej zielonych oczu odgadł, że jest podekscytowana, a nie rozzłoszczona. Przyciągnął ją do siebie, aż jej słodki zapach zawirował w jego głowie.

- Dobrze. Przyznaję się. A teraz mnie pocałuj.

Wspięła się na palce i złożyła na jego ustach pocałunek.

- W takim razie zdradź mi, co zrobiłem, żebym mógł to powtórzyć.

- Nie możesz tego powtórzyć. Przynajmniej nie w ciągu najbliższych dziewięciu miesięcy.

Wielkie nieba! John osłupiał.

- Chcesz powiedzieć, że zostanę tatusiem?

Uśmiechnęła się do niego łobuzersko.

- Tak, kowboju. Będziemy mieć drugie dziecko.

Myślał, że oszaleje ze szczęścia.

- Czy to moja wina - jęknął - że jesteś taka piękna? - Nagle dotarło do niego. - Rany boskie, kobieto! Będziemy mieć drugie dziecko! - Podniósł ją do góry i zawirował, śmiejąc się jak szaleniec. - Kocham panią, pani Murdock! I będę dobrze się spisywać.

Kara patrzyła na niego z promiennym uśmiechem.

- Tylko spróbuj być niegrzeczny. A teraz postaw mnie na ziemi, bo dostanę mdłości.

Puścił ją i ucałował.

- Kara, kochanie. Rok temu byłem najniezwyklejszym człowiekiem na ziemi. Kto by przypuszczał, że jedna gra w pokera da mi tak wiele!

Westchnęła z zadowoleniem i położyła głowę na jego silnym ramieniu.

- To był niezły rok, prawda?

- Najlepszy rok w moim życiu. - Zawsze, gdy myślał o tym, czego dokonali wspólnie, aż tryskał dumą.

Z rozsądkiem Kary i jego kontaktami szybko zamieniali „Gwiazdę M” w kwitnące gospodarstwo. Ranczo rozrastało się, płoty były naprawione, stodoła odnowiona i pomalowana. Mocno wrósł w tę ziemię. I zawdzięczał to tej wspaniałej kobiecie. Swojej żonie.

Kara uśmiechnęła się.

- Jestem szczęśliwa, że zabrałeś moje ranczo i zmusiłeś mnie, żebym tu wróciła.

- To był najlepszy sposób, żeby cię odzyskać.

Kara chętnie sprzedała swoje udziały w sklepie z odzieżą, inwestując wszystkie pieniądze w ranczo. Dała Johnowi wiarę i siłę, żeby mógł zerwać z ciężącym na nim wizerunkiem ojca. A teraz ofiarowała mu jeszcze jeden prezent.

Ujął jej twarz w dłonie i powiedział:

- Mam nadzieję, że będziemy mieć dziewczynkę ze słodką buzią i zielonymi oczami jak jej mama.

- Ja też - odpowiedziała, szczypiąc go w nos. - Wreszcie zapanuje tu jakaś równowaga.

Lane szalał z radości, gdy dowiedział się, że John jest jego rodzonym ojcem. Od tej chwili stał się jego sprzymierzeńcem i pomocnikiem. Kiedy patrzyli na Karę, uśmiechając się identycznie, skoczyłyby za nimi w ogień.

Od tej nocy, gdy wrócili do domu z Oklahomy ze śpiącym dzieckiem w samochodzie, Kara ze wszystkich sił starała się być taką żoną, na jaką zasługiwał John. Dziękowała niebu za wszystkie dary. Wreszcie zrozumiała, że miłość i zaufanie są ważniejsze niż duma i źle pojęta godność.

Z radością w sercu wyznała:

- Zawsze o tym marzyłam.

- O czym? Że będziesz stać w ciemnej oborze z szalonym kowbojem?

W świetle księżyca błysnęły jego białe zęby.

- Nie, głuptasie. - Klepnęła go w ramię. - Że będziemy szczęśliwi. Chciałam mieć z tobą jeszcze jedno dziecko.

Jego twarz złagodniała.

- Wiem, jak nazwiemy naszą córeczkę.

- Jak?

Powędrowała za jego wzrokiem na usłane gwiazdami niebo. Wiedziała, co jej odpowie.

- Gwiazdka - zamruczał, przysuwając się bliżej. - Nasza Gwiazdeczka.

- Tak - wyszeptała przy jego ustach. - Nigdy nie zapomnimy, że marzenia się spełniają.

Pocałowali się. Ich serca były jednym rytmem. Świerszcze wygrywały w trawie miłosną pieśń. Powietrze było ciężkie od zapachu polnych kwiatów. Gdzieś w górze spadająca gwiazda przesłała im swoje błogosławieństwo.

